



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

OD REDAKCYI.

W jednym z najbliższych numerów pisma naszego, rozpoczniemy druk dalszego ciągu

Księgi Pamiątek Gabryelli.

znalezione przez rodzinę i przyjaciół w papierach zmarłej. Talent Żmichowskiej, jej indywidualność, z tych kart pośmiertnych promieniają z podbijającą nieraz siłą. Rodzina i przyjaciele Poetki mają nadzieję, że z *Księgi* znajdzie się jeszcze coś więcej, co za życia drukowaniem nie było.

DO PIRAMID.

Lecą powietrznym szlakiem, na białych skrzy-
[dłach lecą,
Gnane życia pragnieniem—
Kędy lotusy rosną, gdzie wschodnie gwiazdy
[świecą,
Gdzie palma dobroczynna rozdaje, długim cieniem,
Swoj chłód,
Gdzie serce szczęściem bije,
Gdzie się nanowo żyje,

Gdzie wszystko się zaczyna z wiosennem unie-
[sieniem—

W ślad jednego bociana
Leci ich karawana
Na Wschód—
Do Piramid!

* * *

Lecą powietrznym szlakiem, kierując się skrzy-
[dłami,

Zkąd ciepły oddech idzie,
Na szczycie obelisku spocząć pod obłokami,
Starożytne swe gniazda witać na piramidzie
I mil

Tysiące mierzyć wzrokiem,
Stąpając lekkim krokiem
Na ruinach, patrząc jak egipskie słońce idzie....
Tam gdzie to słońce świeci
Łańcuch żorawi leci
Nad Nil—
Do Piramid!

* * *

Chcę lecieć z wami, ptaki, chcę lecieć tam, gdzie stoi
Na Piramidy szczycie,
Z hieroglifem na czole, Przeszłość o kamiennej
[zbroi,
Z sercem gdzie jęk się tuli w balsamiczne powicie
I w chłód
Cichéj królów komnaty
Gdzie przed tysiącem laty
Lud

Złożył ich do grobowca, w żałobnym aksamicie.

Chcę lecieć tam i głowę
Płonącą marzeniami
Przytulić do ich trumny,
Kiru wznosząc aksamit—

I spytać: co wiek stary mówi na czasy nowe?
Czy uśmiecha się przez sen i drżącymi rękami
Błogosławi Ludzkości jak ojciec z dzieci dumny?
Zobaczyć ten wieków cud
Chcę lecieć z żorawiami
Na Wschód—
Do Piramid!

Szczęсна.

KSIEŻNICZKA AUGUSTA MONTLEAR.

(Wspomnienie pośmiertne).

Któż z nas nie zna powieściowego pieścidelka Hofmanowej, p. nap. „Dziennik Franciszki Krasinśkiej”, gdzie rzeczywistość splata się z fantazyą powieściopisarki w jeden wieniec dziwnego uroku? Kto nie bolał nad łosem owej slicznej Starościanki Nowomiejskiej i nad jej miłością, tak niefortunnie złożoną w ręce królewicza Karola, syna Augusta III, który dziwnie był niestateczny, a nie umiał ocenić podniosłości uczucia swej żony, często ubóstwianej, częściej zapominanej?... Nieszczęsna ta „królewiczowa”, długie lata tułająca się jedyną sympatyczną twórczynią nić, łączącą nasze wspomnienia z rodziną saską, przeszło półwieku u nas królującą. Wielkie wstrzą-

snienia zeszłego stulecia znacznie zatępiły pamięć o królewiczowej. Możeby nawet zupełnie zniknęły już te wspomnienia wśród szerszych kół, gdyby nie owo opowiadanie Klementyny z Tańskich Hofmanowej. Królewiczowa, jako bohaterka powieściowego utworu, przypominała się pokoleniom dzisiejszego stulecia; ujrano typ tem sympatyczniejszy, iż prawda złożyła się na jego rysy. Lecz z biegiem czasu znowu pamięć o niej zatracą się, a cała epoka saska usuwa się gdzieś w głąb sceny dziejowej, wcale niesympatycznie nam się przedstawiając się, tembardziej, iż wszystkie wady i braki czy-to bliższej, czy dalszej przeszłości zwykliśmy skupiać niejako w owej, smutnej pamięci, saskiej epoce. Wśród głosów ogólnego, bez żadnych wyjątków, potępienia, jakimi ludzi saskich czasów obrzucamy, jakie sygną się obficie na głowy saskiej, u nas niegdyś rządzącej, dynastji, jedna tylko pamięć Franciszki Krasińskiej, żony królewicza Karola, a synowej Augusta III, wolną jest od zarzutów. „Królewiczowa“ jednoczy się z rodziną panującą saską bardzo późno; mąż bowiem, wciąż niestateczny, wcale nieprędko z nią się połączył i nieprędko wprowadził ją w koło swych blizkich. Wszedłszy do grona królewskiej rodziny saskiej, „królewiczowa“ nie zapominała o swem społeczeństwie; mieszkająca zdala od swoich, lecz jej myśl i uczucie wciąż gościły na niwach rodzinnych, jednocząc się ze sprawami mającemi doniosłe dla kraju znaczenie. Sejm Czteroletni, wypadki, które on wytworzył, późniejsze wstrząśnienia, zwracając jej uwagę, wywołują niejedno szybsze serca uderzenie. Cieszy się z cieszącymi, ludzi się ówczesnymi nadziejami i, patrząc zdala na złudzenia, tembardziej je podziela, iż odległość usuwa jej oku wszystko, co mogło cieniem się mienić. Wszelkie skazy na tle politycznych horoskopów dla niej nikły, a zostawały tylko barwy jasne, nadzieje promieniejące, pomyślnem jutrem społeczeństem.

Ostatnie błyski tych nadziei były ostatniemi jej życia chwilami. Jednocześnie z ich zgaśnięciem zgasła królewiczowa. Malutka córeczka, księżniczka Marya, była jedynym dziećciem, które pozostało z tego związku królewicza Karola z Franciszką Krasińską. Zdawało się, iż z jej zejściem zaginie wszelki stosunek łączący tę rodzinę z Polską, iż już nikt z niej poczuwać się nie będzie do jakichkolwiek obowiązków wobec tej ziemi, którą „królewiczowa“ tak kochała.

Stało się jednak inaczej. Stało się niby naprzekór tym upowszechnionym przykładom, jakie przed okiem naszym codziennie się przesuwały: iż ci, co na wyżynach bytu materyalnego lub stosunków stoją, co mienić siebie śmietanką społeczną pragną, nie poczuwają się do żadnych obowiązków społecznych.

Wnuczka „królewiczowej“ odziedziczyła po swej babce, dzięki szczególnemu atawizmowi ducha, miłość ku ziemi, która ongi była kolebką tej ostatniej odziedziczyła poczucie obowiązków do społeczeństwu, nad którym przed laty panowali dwaj jej protoplaści, elektorowie sascy, wcale do żadnych obowiązków się nie poczuwający. Wnuczką tą „królewiczowej“, a prawnuczką w prostej linii Augusta III, była księżniczka Augusta Montleare, zgasła śmiercią nagłą, niespodzianą, straszną a tajemniczą, dnia 30 Marca b. r., we wsi Krzyżkowicach, w Powiecie Myślenickim, o mil kilka na południe od Krakowa ¹⁾.

Nazwisko księżniczki Montleare brzmi zczudziomska dla naszego ucha, obcem ono nawet dla tej prowincji, w której mieszkała; podnosimy je wszakże, bo nosiła je kobieta o niezwykłym charakterze, o wielkiej energii a rzadkiem u nas rozumieniu swych obowiązków obywatelskich i potrzeb krajowych. Ona, nieznana, w zaciszu ukryta, bardziej była swojskim typem, niż wielu o nazwiskach swojskich, a obcych i sercem i myślą dla ziemi rodzinnej. Przypatrzmy się jej rodowodowi.

Córka królewiczowej, księżniczka Marya, wczesnie osierocona przez matkę, oddała swą rękę księciu Carignan, który był członkiem młodszej linii Rodziny Sabaudzkiej. Ze związku tego urodził się książę Karol Albert, późniejszy Król Sardynski, który był ojcem Wiktora Emmanuela, a dziadkiem dziś panującego Króla Włoskiego, Humberta I. Księżna Carignan dość prędko owdowiała, i w późniejszej nieco dobie, w r. 1812, wstąpiła w powtórne związki z p. Montlearem, który, acz pochodził z rodziny starożytnej francuskiej, był jedynie lekarzem i dopiero po zaślubieniu księżnej Carignan został podniesiony do godności książęcej przez Napoleona I. Niezwykłe okoliczności towarzyszyły wstąpieniu ks. Carignan w powtórne związki; był to czyn wdzięczności. Podczas pożaru na balu u księcia Schwarzenberga, w Wiedniu życie jej znajdowało się w niebezpieczeństwie, z którego jedynie poświęcenie pana Montleare ją wyratowało. Wywdzięczając się za swe ocalenie, matka przyszłego Króla Sardynskiego oddała mu rękę. Jednym z dwojga dzieci, które mieli Księstwo Montleare, była córka, nosząca imię swego pradziadka po kądzieli, Augusta III, księżniczka Augusta Montleare. Brat jej tak bardzo się od niej różnił, że o nim tu zamilczamy.

Księżniczka Augusta ostatnie szesnaście lat swego życia spędziła w tej prowincji naszego kraju, którą Galicyą zowią — spędziła wcale nie napróżno, bo lepiej od innych rozumiejąc potrzeby pierwszorzędne kraju, umiała im czynić zadość. Oświata ludu zatem przedewszystkiem zwróciła jej uwagę, idła niej też dużo czyniła, tak, jak umiała, otaczając swą opieką tych, którzy niemało opieki potrzebują, t. j. nauczycieli ludowych, szkoły wiejskie i uczącą się młodzież. Długim byłby szereg dobrych czynów, opatrnościowych prawdziwie darów, które rozrzuciła, bądź na polu kształcenia ludu, bądź też w celu pocieszenia smutnych, otarcia łez nieszczęśliwym, gdybyśmy zdołali streścić te jej lata przebyte w ukryciu od świata, innym poświęcone ¹⁾.

Gdyby się modelowała według wzorów u nas pospolitych, nie widziano by jej w kraju, dla którego byłaby obcą, trwoniłaby dochody z dóbr pod niebem cudzoziemskim, i aniby jej na myśl przyszło, że kiedyś, w podkarpackich siołach, na glebie, co ją żywi, lud dziczej, a nieszczęśliwy jego nauczyciele giną z głodu... Wnuczka Franciszki Krasińskiej, owej „królewiczowej“ o smętnem obliczu, daleką była od tych naszych swojskich wzorów; w jej życiu, czynach, coś jest tak idealnie dobrego, wzniosłe obywatelskiego, iż, zaiste, karta życia księżniczki Augusty jest jakby kartą uzupełniającą utwór Hofmanowej, kartą, gdzie już nie fantazyja antorki opromienia prawdę życiową, ale sama fantazyja lśni, promienieje tysiącem uroczych barw rzeczywistości. Szczegóły z życia samotnej, a dla młodszej braci całem sercem oddanej, staruszki są jakby ułamkiem z cudownych bajek wschodnich. Dużo wtem wszystkiem było oryginalności, ale niemniej wszędzie przyświeca myśl wyższa, dokładne zrozumienie potrzeb krajowych, energia prawdziwie mężka, co przysparza mienia, zamiast usuwać sobie ziemię spod nóg, oszczędza, skąpi, by wspierać uczącą się młodzież, rozniecać bodaj małe ogniki światła wśród mas ludu ciemnych, zaniedbanych, zdziaczających często. Szkoły przez nią budowane, uposażane, lud otaczany macierzyńską opieką, na długo zachowają pamięć pożytecznej jej działalności.

Oryginalny to, zaiste, widok przedstawiało, jak ta ciotka i babka królów przyjeżdżała prostym wozem w skromnem ubraniu do Krakowa, stała w wajejdzie ludowym na Kleparzu, pod „Białym Koniem“, a niemniej hojną dłonią sypała grosz dokoła, tam, gdzie mógł pożytek ogólny zakwitnąć, a uśmiech wesela zajaśnieć na licach niedoli.

Maluczy ją znali i maluczy przedewszystkiem otaczali jej trumnę. Nauczyciele ludowi

dość gromadnie zebrali się w parafialnym kościółku w Sieprawiu, u mogiły tej, co szkołę ludową tak wysoce ceniła, a ich niewesołego bytu była jedyną orędowniczką i dobrodziejką. O maluczkich też głównie myślała w swym testamencie, przez siebie własnoręcznie skreślonym. Czternastu dzieciętom wiejskim, których była chrześną matką, zapisała posagi po 1.000 reńskich dla każdej; młodzieży uczącej się 50.000 reńsk., na stypendya; tego rodzaju legata zapewniają i dalsze karty testamentu, nie mówiąc o hojnych darach własną dłonią za życia rozdawanych dokoła. Wdzięczna dla tych, co mieli możność być jej użytecznymi, na wiele lat przed zgonem obdarowała jedną z polskich znanych rodzin dobrami, których wartość milion guldenów wynosiła. Był to upominek przyjaźni, pamięć wdzięcznego serca.

Bez względu na hojność istic królewską mienie jej nie zmniejszało się. Prowadziła życie w dobrowolnem ubóstwie, pracowite, wglądając w gospodarstwo nader pilnie, ściśle dopilnowując, by przychód żył z rozchodem w zgodzie, by zbytek i pańskość nie zagościły pod dachem tej ostatniej u nas reprezentantki Dynastji Saskiej, torującej ongi drogę u nas do zbytku. Zdawało się, że w maluczkim zakresie swej ziemiańskiej działalności pragnęła zaglądnąć w wiejskiem zaciszu to, co jej przodkowie złego na tronie dokonali.

Charakterystyczną wreszcie jest rzeczą, iż nie z mienia nie przekazała swej rodzinie, piastującej koronę włoską, czy też saską, lub tym gąłżiom, co są z paia Domu Habsburgów. Wszystko, w ogólnej ilości kilku milionów guld., pozostało w kraju; z darów rodzinnych przekazała jedynie swe familijne klejnoty Królowej Włoskiej, Małgorzacie.

Takiem-to było usposobienie, takimi przekonaniami, sympatjami, cicha działalność tej wyższej nad tłum niewiasty, wyższej głową, sercem, energią. Świat ją mało rozumiał, niesłusznie ją oceniał. Jeżeli współcześni nie zawsze byli sprawiedliwymi, wierzymy, iż potomni lepiej, sprawiedliwiej spojrzą na to życie niepowszednie. Dłoń, myśl niewiast naszych sięgając na jej grobie czyny obywatelskiej zasługi, czyny chrześcijańskiego braterstwa i miłości, odda tem samem najwłaściwszy hołd pamięci tej prawdziwej obywatelce kraju.

Maryan Dubiecki.

CZECZOTKA

Powieść z dawnych czasów

przez

Piotra Jaxę Bykowskiego.

(Dalszy ciąg).

Gdy się ściemniać zaczęło, osiadł jeden z koni, a dwóch ich posiadał: jednego tureckiego z darn pańskiego, drugiego przyprowadził był ze sobą jako jedyną spuściznę po przodkach: był to mały górski podjezdek, nadzwyczaj zwinny i silny, do jazdy po stromych skałach nazwyczajony, a którego Justek od źrebięcia wychowywał, zwykle zaś teraz do wycieczek posażubowych używał. Dosiadłszy teraz podjezdką, a obojętnie pozycyą, że dokoła zamkowych wałów było pusto, bo wszystek motłoch wewnątrz się skupił, przypatrując się pańskiej zabawie — otworzył furtę zewnętrzną i zniknął poza nią.

Skoro pośpieszono na wypełnienie pańskiego rozkazu i drzwi wybito, wojewoda się niecierpliwił, wołając:

— A cóż tam, dawajcie tu tego lotral!

Usłużni, przeszerawszy rychło wszystkie kąty izdebki, zawiadomili wojewodę, iż porucznika nie znaleźli.

1) Znalaziono ją we własnym domu na wsi, z głową zranioną od wystrzału, z gardłem przeciętym ostrym narzędziem. Sprawca zbrodni nie został wykryty.

1) O jednym z czynów jej filantropijnych wspomniał *Bluszcz* w N. 20 z r. b. — Podobnych czynów wyjątkowej szlachetności było niemało.

— A gdzież jest? — zadał pan gniewny pytanie, które z konieczności zostało bez odpowiedzi.

— Gdzie jego ordynans? Dajcie mi tu ordynans!

Rzucili się usłudzy i wydobyli z rowu starego Grzegorza, który już pałacową okazywał zalał według zwyczaju, a na wszystkie pańskie zapytania, zataczając się, bełkotał:

— Pan porucznik dał mi abszyt nieograniczone; mam honor meldować.

Nakoniec przy świetle pochodni wdrapał się wojewoda na basztę po starych i wyszczerbionych schodach, sam przetrząsał wszystkie kąty szczupłej izdebki, a takie ciasne, że zaledwieby szczura pomieściły — niedowierzając nikomu, sam szukał; w tem poszukiwaniu zwróciła pańską uwagę skrzynka z białego drzewa, gdzie Czeczotka chował swój skromny dobytek; uderzał w oczy napis świeży na wieku węglem, następujący:

„Do zwrotu jasnie wielmożnemu wojewodzie, wszystko otrzymane z jego wspaniałomyślności“.

Zapewne w przypuszczeniu, iż czegoś się więcej dowie, wojewoda gorączkowo oderwał wieko skrzynki i ją wyrzucił całą jej zawartość różnorodną, były tam: mundur officerski milicyi, suknie, które Justek wdziawał jako rękodajny, pas lity z daru wojewody, pierścień kosztowny od pani, kilka sakiewek ze złotem, które kiedyś były mu dane i t. d. Na widok tych wyrzuconych kosztowności niejeden przytomny rzekł sobie w myśli:

— Jaki głupi! to wszystko pozostawił... Toż to niegorsza sumka, chudopacholski majątek.

Napastwiwszy się dowoli, nad tem świadectwem swojej niegdy hojności, przerzucił to jeszcze kilkakrotnie wojewoda, w nadziei wynalezienia nowych jakich wskazówek, lecz przekonany o bezskuteczności swych poszukiwań, odezwał się do dworzan i milicyi:

— Wszystko, co tu jest, razem z jego koniem, stanie się własnością tego, który pojma i dostarczy zbiera. Sto czerwonych złotych dodam od siebie; nie idzie o tego ladaco, ale dezercya wojskowa winna być przykładnie ukarana. Ochotnicy niech wezmą dworskie konie, a nie szczerzyć ich, niech zdechną, byle dezercera pojmać.

Na te słowa pańskie szmer ogólny rozległ się pomiędzy widzami zalegającymi izdebkę i schody; jeden drugi z milicyi biegł co rychlej do stajni, odwiązywał konia od żłobu, wskakiwał nań nawet bez siodła, i odrazu cały dziedziniec zatętnił pod kopytami końskimi: tak nęciła chęć zdobycia znacznej nagrody; wszakże kilku rozważniejszych, którzy się odrazu rzucili na zdobycie tej przyobiecanej fortunki, ochłonęło po namyśle, rozumując sobie:

— Wziął podjezdka, który jak koza czepia się po skałach: pewnie więc udał się drogą przez urwiska Czeczotki, a prztem musiał już dawno wyjechać i — „szukaj wiatru w polu“.

Wszakże, pomimo to, w mgnieniu oka kilkadziesiąt śmiełków rozsypało się poza wały zamku, na tę grę czysto-losową.

Przestrzeń od owej narożnej wieży zamkowej do krużganków pałacu była dość znaczną; pomimo to przeciągnął się przez nią jeden szereg ciekawych. Wieść o zbiegu, o wyznaczonych nagrodzie i tam dalej, z ust do ust lotem błyskawicy doszła na zamek, a doszła, jak to bywa połudzku, w kilkadziesiąt odmiannych, niewiadomo zaś czy z prostego wypadku, lub może z insynuacji samej pani, o uszy pięknej oblubienicy, a królowej tego zmitręzonego festynu, Zosi, oblała się w przerobionej formie: że jednocześnie z Justkiem znikła jakaś dziewczyna z miasteczka, że nakoniec ludzie pracujący w polu widzieli ich jadących razem na jednym koniu ku skałom i t. d., bo zaprawdę, niema pod słońcem lepszej machiny do przerobienia komara w słonia, nad język bliźniego.

Taka wieść, w tem olbrzymim powiększeniu, oblała się o różowe uszko oblubienicy: padła biedna bez czucia.

Łatwo sobie wyobrazić popłoch i zamieszanie, jakie między gośćmi powstało. Wyniesiono chorą,

nawpół martwą do komnat, na łóżko samej pani, która za nią z niewiastami pośpieszyła. Dwóch lekarzy nadwornych stanęło przy łóżu, pani wróciła na moment na pokoje, już znacznie opróżnione, aby uspokoić aprehensyę oblubienicy, wiadomością, że omdlenie było spowodowane niespodzianem szczęściem i affektem gorącym dla niego.

Około południa nazajutrz zaczęli ścierać ochotnicy, którzy się byli puscili w pogon za Czeczotką, wszyscy prawie na ochwaconych i pobitych koniach; dwóch jeszcze brakło — na nich wojewoda pokładał całą nadzieję nasycenia zemsty, ale i ci stawili się ku wieczorowi pieszo, bo im konie padły w tej pogoni.

Prawdziwie w czepku się rodził ten szczęśliwy Justek, że uszedł cało, bo gdyby dał się pojmać, byłoby mu nie z miodem, gdyż wojewoda bardzo nie lubił, aby jego projektom wpoprzek drogi stawiano.

Biedna Zosia zawisała między życiem a śmiercią, tak, iż z początku lekarze o niej zwątpili, wszakże po kilku dniach młode siły przemogły chorobę i niebezpieczeństwo minęło; lecz chociaż wzmacniała się ciałem, jednak napróżno usiłowała zebrać przytomność umysłu, aby zdać sobie sprawę ze wszystkiego, co ją spotkało, a co już jakby przez mgłę tylko widziała.

Wojewodzina była wprawdzie nieodstępna przy łóżu chorej, lecz ta pytać się nie ośmielała; inne zaś służebne, od czasu do czasu zastępujące panią, jakby z polecenia, lawirując w odpowiedziach, wybadać się nie dawały: nie widząc zatem innego sposobu zdobycia prawdy, raz po raz, kiedy wojewodzina przy niej czuwała, wzięła dziewczyna na odwagę, a przyciskając do ust schorzałą rękę pani, rzekła pokornym tonem:

— O gdyby jasnie wielmożna pani z łaski swej dopomógł raczyła mojej biednej pamięci, gdyż nie mogę zdać sobie sprawy z tego, co się stało i dlaczego tak ciężko chorowałam?

— I owszem, moje dziecko, rada ci w tem dopomogę, a to tem chętniej, iż nie tobie się złego nie stało, oprócz wszakże tej choroby, którą Bóg zesłał, a może to z aprehensyi i nadmiaru szczęścia, bo, jak ci wiadomo, zostałeś narzeczoną kasztelanu S.

— O, pani, czyliż zawsze mam być tą narzeczoną? czy nie dość, żem to odchorowała? — wymówiła biedna dziewczyna ze łzami, wstępując tym nowym smutkiem w odzyskane władze umysłu.

— Nie bądź-że dzieckiem, moja Zosiu, samaś się zaręczyła dobrowolnie.

Tak perswadowała wojewodzina powolnie, jak się czyni z małym dzieckiem, pragnąc mu coś wbić w pamięć, a okazując kosztowności w kryształowych puszках złożone obok jej łóża, mówiła dalej:

— Patrz, oto jest pierścień zaręczynowy twego oblubienicy kasztelana. Co za dyament! jaki ma połysk! Powiadam ci, że niewiele takich pomiędzy moimi precyozami znajdzie się; a jak on w tobie rozmiłowany, ile ci tu pięknych rzeczy nadawał! A wiesz, że już zaniósł do akt zapis dla ciebie całego klucza na Podolu, z czterech pięknych wsi? Jeszcze na tem niekoniec, byleś tylko miała rozum, moje dziecko.

Zosia z rozkapryszoną minką odwróciła się od tych cacek, a po chwili rzekła z przymileniem:

— Czy wolno jasnie wielmożną panią o coś jeszcze zapytać?

— Czemu nie, moje dziecko? — odparła łagodnie wojewodzina.

— Coś mi się majaczyło w chorobie o Justku... o poruczniku... ale sama sobie nie dowierzam.

— Na nieszczęście, musisz uleść smutnej rzeczywistości: źle się pan porucznik popisał, zawiódł zaufanie wojewody, który mu konferował znaczną szarżę wojskową nad jego wiek i *merita*, a nadto skompromittował muie, bo to się stało za mojem wstawieniem...

— Cóż on takiego zrobił? — przerwała niespokojnie Zosia.

— Jako, nie wiesz? Uciekł, krótko mówiąc, splamił się dezercją wojskową; już zamierzam o tem, iż okazał się dla domu naszego niewdzięcznym — surowo zakończyła pani.

— A dlaczego to on uciekał? — zapytała Zosia z dziecinną natarczywością.

— Nie chciałabym cię martwić, moje dziecko, ale że możesz się o tem od innych dowiedzieć, więc lepiej powiem odrazu, że to awanturka romansowa z jakąś panną z miasta.

Zosia, pokręciwszy schorzałą główką, wypowiedziała z mocą:

— O nie, nie, to jasnie wielmożną panią zli ludzie w błąd wprowadzili: musiał on mieć inne powody.

— Czyli mu tu źle było? czy kto ztąd uciekał pokryjomu, od kiedy dwór ten stoi na fundamentach? — Przecież i sama wiesz, że aspirantom nie możemy się opędzić, a jeżeli kogo więzimy, to chyba sercem i dobrym traktamentem. Mógł przecie prosić o abszyt, ale uciekać jak złoczyńca! — mówiła z oburzeniem wojewodzina.

Zosia spuściła oczy, pod którymi lezka gorąca zawisała.

Trwało czas jakiś milczenie; przerwała je wojewodzina:

— A gdybyś spróbowała wstać, ty leniuszko... Najpierw lekarze ci to zalecają, gdyż leżeniem możesz zdrowie pogorszyć; a potem ulituj się nad biednym kasztelanem, który, jak pies wierny, pod drzwiami twemi stróżuje dnem i nocą. Warto, żebyś go pocieszyła; a nakoniec cała robota twojej wyprawy zatamowana, kilkanaście sukni czeka na przymierzenie... bo już-to ja mojej senatorowej bez godnej wyprawy nie wypuszczę od siebie; chciałabym, żebyś i po mnie miała pamiątkę — zakończyła czule wojewodzina, biorąc schorzałą główkę dziewczyny w obie ręce, które ta całując z wdzięcznością, szepnęła, jakby głośno pomyslała:

— Oh! jaka ja byłam szczęśliwa w moich drelichach, z nim razem, na plebanii!

— Romanse, moja panno, romanse! Pożyjesz, to się przekonasz, że pałac lepszy od plebanii, a koronki i ałasy od drelichu; a zresztą wyperswaduj sobie, że już nie wrócisz do dawnego szczęścia, bo i twój kompan szuka sobie innego po szerokim świecie — mówiła ironicznie wojewodzina.

— O, nie, on wróci, on mnie nie opuści — odparła z mocą dziewczyna, a następnie, składając ręce jak do modlitwy, zakończyła błagalnie:

— O dobra pani, nie wydawajcie mię za kasztelan!...

— Miej-że rozum, moje dziecko! — przerwała pani napozór łagodnie, wszakże widocznie opanowując gniew, który mimowoli w jej głosie przebiegał — nie suponuję, żebyś chciała zażartować z tak poważnego pana, jak kasztelan, i mnie narażać na wstyd przed ludźmi. Czyli i ty miałabyś zamiar tak się wywdzięczyć, jak twój pan porucznik? Zapytaj całego fraucymeru — a są tam i senatorów — czy się znajdzie choć jedna, któraby z pocałowaniem ręki nie akceptowała takiej partyi, jak kasztelan?... Nie wątpię, że rozsądek zagłuszony w tobie niewczesne dziecinne kaprysy, i wyjdiesz na pokoje, pokażesz się biednemu kasztelanowi, który usycha z trwogi i tęsknoty, a da Bóg za parę tygodni wydobrzejesz i na moje imieniny zrobisz mi wiązanie ze swojego szczęścia, którego pragnę z całej duszy, jak swego własnego, jak moich dzieci.

I macierzyńskim pocałowaniem schorowanej główki dziewczęcia, zakończyła pani tę napozór czulą rozmowę, w której wszakże pewna szorstka stanowczość drogą do wszelkiej repliki tamowała.

W ten sposób wprawdzie nie przekonała, ale, że się tak wyrażę, wojewodzina ujarzmiła biedną Zosię, a chociaż ona dotąd była pozbawioną możności widywania Justka, jednak wiedziała, iż czuwa nad nią zdaleka; teraz zaś, ucieczka jego, w której wszakże zmyślone powody nie wierzyła, pozbawiała ją tej jedynej domniemalnej opieki.

Pośród liczego dworu ujrzała się dziewczyna osamotnioną, nie mając przy sobie ani jednego

zyczliwego serca, w któreby mogła przelać troski dojmujące ją, myśli podzielić, rady zasięgnąć; prócz pani otaczały ją służebne pokorne, milczące, jakby mumie i posągi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRACA KOBIECA NA WYSTAWIE.

Wystawa—jest to pewnego rodzaju obrachunek tak pracy, jak zarobków społeczeństwa, które ją urządza. Tegoroczna nasza wystawa przedstawia się już pod względem zewnętrznym wcale pokaźnie i pocieszająco, jak na jej zakres, jak na ubogie stosunki nasze: 166 pawilonów tworzy jakgdyby miasteczko jakieś, i to miasteczko bardzo ładne, które włościańska orkiestra pana Namysłowskiego rozwesela. Tłum, ciągle otaczający grajków w magierkach, dowodzi też, że ich muzyka działa tak na ogół publiczności, która staje się przez to usposobioną do przychylnego sądu; ale z drugiej strony szuka rzeczy do tej muzyki podobnych, to jest takich, któreby nie były wyrobami importowanego i sztucznie szczepionego nam zbytku, ale rzeczywistych naszych potrzeb zaspokojeniem. Wystawa, oile się w niej rozpatrzyć można, w czasie niedługiego jeszcze jej trwania, zadawalnia też i pod tym względem; przemysł nasz szerzy się i zaczyna nietylko dowóz obcy wypychać, ale i na wywóz pracować, czuć się też daje w ogóle pewien zwrot praktyczny, który w stosunku do poprzedniej wystawy jest postępem dobrym i dającym nadzieję lepszego. Mniej jest obecnie na Polach Mokotowskich butnej fanaberyi pańskiej, a za to zaznacza się więcej przemysł włościański—pocziwe i rozumne skierowanie się ku niemu i pomoc dana samorodnym dotąd jego objawom. *Szkola parobcza* hr. Stanisława Zamojskiego z Podzamcza, jest też wielkim magnesem, wielką przyciągającą siłą wystawy. Tłok tu ciągły, wszystkie prawie jej okazy rozkupiono oddawna, to jest natychmiast po otwarciu, a do Soboty wieczorem było zapisanych zamówień na 360 rs. Dowodzi to sympatyj ogółu, która się nigdy darmo nie otrzymuje i trzeba zasługiwać sobie na nią przez jakieś szczęśliwe zadosyć uczynienie potrzebie, którą dotąd przeoczano. W podobny sposób, choć przy mniej licznych okazach, ściąga do siebie publiczność oddział p. Karola Ochenkowskiego ze Skrzyszewa, mieszczański w sobie okazy pracy włościan i szlachty zagonywej; — śliczne, w całym znaczeniu tego wyrazu śliczne tkaniny ręczne kobiet, które też zostały prawie w zupełności rozprzedane. Wystawców, którzy w ten pocziwy sposób zajęli się przemysłem włościańskim, i mieszczań z małych miasteczek jest 8: Franciszek Kijewski z Błędowa, Stanisław Gałęcki z Rąbienia, Szaniawski z Zegrzynka, Henryk Wierciński z Nałęczowa; Stanisław Pieczyński z Częstochowy, Saturnin Olechowski z Szaków, Karol Kiślański z Jaworzna. Ks. Szpadrowski z Kluczewska—ośmiu ludzi dobrze zasłużonych społeczeństwu swojemu, przez rozbudzanie ducha pracy i przemysłu wśród wiejskiego ludu naszego.

— A wystawczyń?—zapytanie to ciśnie się samo na usta, lecz odpowiedź niezadawalnia bynajmniej, bo obok 10 wystawców mężczyzn, znajdują się w tym dziale tylko dwie wystawczynie: p. Honorata Bigoszevska z Bylin, i p. Rudolina z Gromadzie. W innej grupie wystawy (III) w dziale koronek, stają, podobną zasługą uwieńczone, jeszcze dwie szlachetne wystawczynie przemysłu kobiecego, któremu pocziwą rękę podały: pp. Helena Gabryelowa z Warszawy i Marya S. ze Skalbierza, obie mające bezpłatne szkoły koronek, ale na cały obszar wsi Królestwa znalazły się tylko dwie, które siostrą swoim z chat włościańskich dały pomoc, rozbudziły tak do działalności pracowitej, że ożywiona ich wpływem, podnieść się i zaznaczyć mogło,

A tyle się pisze i mówi o pracy kobiecej, o kobiecym stanowisku i równoprawnieniu! Czy przecież może być większe pole do pracy obywatelskiej, do dobroczynnej i wpływowej działalności, niż tu, gdzie niemal tylko rękę wyciągnąć trzeba, aby się dostać dobrodziejstwa?

Ale źle się wyrażałam: przed wyciągnięciem ręki trzeba, aby pierwój myśl rozumna zdała sobie sprawę ze społecznego położenia kobiety zamieszkującej dwór wiejski, aby następnie serce uderzyło w piersi, aby się otrząsnęło z własnej apaty, chcąc zwyciężyć apatyą innych. Lecz tamte inne to ciemne, biedne, dołem zbite istoty, a tu takich okoliczności łagodzących podawać nie można. Co rok wychodzi z wyższych szkół warszawskich, z pensyi pięcio-sześcioklasowych tyle panien—i co one robią? Nie pytam się już, co robią dla siebie, ale co robią z myślą ogólnego pożytku?

Drobny przemysł włościanek mógłby być dać na to odpowiedź pocieszającą, ale niema go niestety!

Choć występuję tu nieco poza ramy traktowanego przedmiotu, postawić mi należy obok dwóch wyżej wymienionych pań dwie jeszcze w tym kierunku dobrze załufone: p. p. Antoninę Boską z Dobruty i Domagałską z Jedlni, które na wystawie Radomskiej otrzymały nagrody za wystawienie przemysłu włościanek z wymienionych miejscowości. Bóg zapłać tym czterem dobrym obywatelkom, które się zajmują interessem społeczeństwa swego według tej maksymy rozumnej: — Czyni każdy w kółku swojemu, co każe Duch Boży!...

Panie te znać muszą niewątpliwie koniec tego głębokiego aforyzmu: — A całość sama się złoży!...

W grupie spożywczej (VI), znajdujemy wystawczyń cztery: wyraźnie cztery. W grupie inwentarza żywego, w którą-to grupę wchodzi drob krowy i w ogóle zwierzęta domowe, wystawczyń jest 6, lecz przynajmniej mamy się tu czem pochwalić, bo sąd wystawowy, który w tym dziale już się odbył, przyznał kobietom dwa medale złote, dwa srebrne i kilka brązowych. Złote otrzymały panie: w dziale bydła rogatego Honorata Łukasiewiczowa z Tulibowa, za okazy rasy hollenderskiej; w dziale drobiu p. Izabela Ryxowa z Prażmowa za nieustający postęp w hodowli kur. Za hodowlę trzody chlewnej pani ta otrzymała dwa medale srebrne; za hodowlę indyków i gęsi medal brązowy. Ks. Róża Lubomirska z Krużyny otrzymała też medal brązowy za hodowlę królików w rasy angorskiej.

W dziale pszczolnictwa i jedwabnictwa znajdujemy wystawczyń dwie, coby także zadziwić mogło: p. p. Joannę Goldmann z Warszawy, która wystawiła motki przedży jedwabnej i rozmaite wyroby z jedwabiu, tkane, oraz przerobione na pończochy i koronkę, Justynę Błociszewską z Olszewnicy, wystawiającą obok męża kokony, jedwab rozwinęty i w motkach, oraz farbowany, prany i wyroby z niego. P. Alexander Błociszewski od lat 10 zajmuje się hodowlą morwy, żona jego rozwijaniem jedwabiu i przerabianiem go bez żadnych przyrządów szczególnych. Motki jej jedwabiu są na sprzedaż po 3 zł. gr. 10 za motek.

W grupie pomocy naukowej (XII), znajduje się wystawczyń jedyna, lecz właściwie rzeczy biorąc jest tylko jedna i jedyna: p. Stefania Jaskiewiczowa z Warszawy, której lamigłówna abecadłowa ułatwiająca naukę czytania, mieści się przy wystawie K. Prószyńskiego.

Z innych wystawczyń dziewięć przedstawia okazy pracy artystycznej w zastosowaniu do przemysłu; jedna, p. Aniela Gałęcka wystawiła metodę pomocniczą dla szwaczek. Tu brak kobiety jest bardzo smutny, bo matka i nauczycielka powinny być stanąć z okazami swemi, którym miłość dziecka i zamiłowanie naukowe przedmiotu swego powinny być służyć za natchnienie.

Możnaby z wystawy naszej, która liczyła 81 wystawczyń, surowo sądzić kobiety nasze—gdyby nie przypuszczenie, że wiele okazów pracy które godne byłyby tu się znaleźć, ukryło się cicho i skromnie. Cichość i skromność są to cnoty bardzo szlachetne, bardzo piękne w kobiecie; przecież po-

wiedziałyby, że nie jest tu miejsce na nie. Wystawy nie należy pojmować jako popis, ale, trzeba ją brać jako obrachunek zasobów naszych, rezultatów pracy społeczeństwa naszego. Skromność i cichość może być czasem zaczajoną w głębi nas próżnością i dumą: trzeba się niekiedy od własnej osobistości myśłą oderwać, aby ją zwrócić usilniej na obowiązek nasz społeczny, na pożytek ogółu, któremu służyć nam należy.

Tak się przedstawia w zarysie ogólnym praca kobieca na wystawie, lecz szczegółowe jej przejście ciekawem jest i nauczającym, więc cofając się wstecz do najwięcej uderzającego wzrok pawilonu: do Pawilonu Ogólnego, zacząć należy od jednej z najważniejszych w przemyśle gałęzi pracy kobiecej, bo w gałęzi produkującej nietylko na potrzeby kraju, ale i na wywóz—od kwaciarsstwa.

(Dokończenie nastąpi).

ŚMIERĆ I POGRZEB WIKTORA HUGO.

Paryż, d. 4 Czerwca 1885 r.

Chociaż miałem czem obficie zapelnąć karty kroniki za Maj, nie czekając nawet ostatnich dni jego, opóźniłem jednak wysłanie tego listu, czekając ostatecznego rozwiązania sprawy, która przeważną odegrała rolę w historii ubiegłego miesiąca.

Dla tych czytelników naszych, którzy niezrażeni wieczną exageracją francuzkich dzienników, gotowi są zawsze wierzyć im na słowo, opiszemy poprostu i skromnie, wszystko co zaszło w rzeczywistości, nie przychylając szali ani na jedną, ani na drugą stronę—powiemy, jakie były ostatnie chwile i śmierć Viktora Hugo i jaką była ta apoteoza, której rozgłosem rozbrzmiał świat cały, dzięki telegrafom, telefonom, dzięki szczególnie dziennikom, dla których ta śmierć i ten pogrzeb, było to prawdziwe święto.

Życie poety, którego imię i słowa, sześćdziesiąt lat przeszło jak są w pamięci wszystkich, gdziekolwiek żyje oświata i nauka, uwalnia kronikarza od długich, obszernych nekrologów. Umarł wielki poeta! — z Niemcewiczem możemy powtórzyć: „Syt lat i chwały!“ i tego dosyć.

Z tych osmdziesięciu trzech lat wieku, rzec można, nie było ani jednej chwili straconej, to też i żniwo było obfite, równie w duchowym, jak i fizycznym znaczeniu. Ogromna sława i wielka fortuna oddały mu się bez oporu, posiadał na ziemi to wszystko, czego człowiek może sobie życzyć; przeżył nawet niejedno z tych dóbr, tak drogich dla serca, jak związki rodzinne i przyjacielskie; wychylił puhar pomyślności aż do dna; a jeśli i były jakie krople goryczy, te się rozplynęły niepostrzeżenie. Odszedł nakoniec — i zostawił po sobie miejsce, które długo zostanie próżnem i niezajętym.

Hugo był zbudowany silnie; bez przenośni można powiedzieć: był jak dąb silny. W obliczu i w całej powierzchowności nosił oznaki i pewnej jakby—nie chcę powiedzieć: szorstkości—ale twardości, tego króla naszych lasów—co zresztą często jest cechą ludzi z jego rodzinnej prowincji, Franche-Comté. Zbudowany silnie, przy życiu umiarkowanym, porządnym i bez trosk—nić dziwnego, że dożył tak późnej a czerstwej starości, i byłby doszedł może do końca wieku, gdyby sobie, jakby umyślnie, nie sprowadził choroby, która go już w grób zwała.

Było to jego przyzwyczajeniem całego życia, że się obchodził bez płaszcza, bez futra lub paleota. Zimą czy latem, w kurcie i w okrągłym niskim kapeluszu—można go było spotykać każdego dnia, w omnibusach, które przenosił nad wszelkie inne powozy, i to najczęściej, na wierzchu, na

takzwanej „Impériale”. Było to przyzwyczajenie tak wkorzenione, iż żadne uwagi nie mogły przeciw temu nic poradzić, a nawet najbliżsi nie śmieli się sprzeciwiać, wiedząc, iżby to było nadaremne. Tak się zdarzyło właśnie 3 Kwietnia. Wychodząc z posiedzenia Akademii, gdzie się odbyło, jakśmy mówili w swym czasie, przyjęcie p. Lessepsa, Wiktor Hugo, w swej zwykłej kurcie czarnej, chociaż dzień był pochmurny i zimny, długi czas rozmawiał wesoło, bez kapelusza, na dziedzińcu akademickim, a potem omnibusem wrócił do domu. Chociaż narazie nie dało się to uczuć wcale—musiał to być początek przeziębienia, bo w Akademii było bardzo gorąco i długą podróż do Passy „à l'Impériale” zbyt była ryzykowną, dla człowieka w wieku W. Hugo.

Jakkolwiekby, początek choroby zdeklarował się dopiero d. 13 Maja w nocy; w pierwszych chwilach myślano, że to jest mało znacząca niedyspozycja, ale wkrótce stan się gwałtownie pogorszył. Zapalenie płuc rozwinęło się szybko i pomimo największych i najpilniejszych starań w Piątek dnia 21 Maja, o wpół do drugiej popołudniu, stary poeta zasnął snem wiecznym.

Od samego początku choroby niemoc owdądnęła głowę pacjenta; majaczył ciągle, a tylko chwilami poznawał wnuków i osoby sobie bliskie. Głównie zajmowała go kwestya sukcesy; powtarzał po kilka razy z naciskiem: — „Wiecie jaka jest wola moja. Cała sukcesya przechodzi na Jerzego i Janinę (wnuki W. Hugo). Cały mój majątek jest u Rothschildów; cały, bez wyjątku, należy się tym dzieciom”.

Co do tego majątku, który stanowi znaczny bardzo kapitał, umieszczony częścią u Rothschildów, a częścią w akcyach Banku Belgijskiego—kładąc na stronę wszelkie exaggeracje, zdaje się, że dochodzi on do trzech milionów. Jeżeli się za stanowimy, że to wszystko zdobyte zostało pracą i talentem, nie będziemy już kruszyć kopii z ekonomistami, że skoro choćby jeden tylko z piszących mógł otrzymać taką nagrodę, za swą pracę, czasy dzisiejsze nie muszą być żelaznym wiekiem.

W 1851 roku cała fortuna Wiktora, Hugo jak wiadomo, nie przechodziła stu tysięcy franków. Kapitał ten umieścił był poeta wówczas na akcyach Banku Belgijskiego, a następnie powiększył liczbę tych akcyi do 700, w miarę wielkich zysków, jakie mu przyniosły jego dzieła, opłacane wysoką ceną przez wydawców belgijskich: Lacroix, Verboekhoven i Spółka.

Oto są ważniejsze summy wypłacone Hugowi, przez wyż wspomnianego wydawcę *Les Misérables*, przyniosły mu 350,000; *Les Travailleurs de la Mer*, 15,000; *Les Chansons des rues et des bois* 40,000; *Tłumaczenie Shakespeare'a* (wykonane przez syna, pod dyrekcją ojca) 46,000; *L'homme qui rit*, 200,000; *Paris qui rit* 12,000.

Można więc śmiało powiedzieć, że nieszczęście może się na coś przydać. Nie chcę tu utrzymywać wcale, aby dobrowolne wygnanie Wiktora Hugo i jego pobyt na Skałach Jersey miały zastąpić potęgę talentu—nie. Ale niezaprzeczoną jest rzeczą, że tak godne postawienie się poety wobec rewolucyi dokonanej na jego ojczyźnie musiało koniecznie otoczyć głowę jego nową i jaśniejszą aureolą, niż ta, którą mu dała poezya.

Następnie, w miarę jak polityczne zmiany odwracały serce kraju od rządów Cesarstwa, stanowisko poety, którego głos, jak daleki łoskot gromu, zapowiadał zbliżającą się burzę, coraz jaśniej występowało przed oczy narodu i coraz to silniej oświecało jego dostojną postać w oczach świata całego. A kiedy przyszła chwila powrotu, W. Hugo stanął na ziemi ojczystej, jak prawdziwy tryumfator, i dowiódł, jak potężną i silną bronią może się stać pióro, byleby trzymane było w czystych, niepokalanach rękach i byleby służyło pocziwiej sprawie.

Miał więc słusność minister oświecenia p. Renat Goblet, kiedy, przemawiając d. 1 Czerwca pod tryumfalną bramą Gwiazdy, przy katafalku poety, temi odezwał się słowy: „Jakkolwiek wielką byłaby chwała poety, potomność widzieć go będzie w wyższej daleko nad nią postaci; przypomni sobie ona te jego słowa: „Ja jestem ów co przyspiesza godzinę, wielkiego jutra, lepszej ludzkości,—

„ . . . Je suis celui qui hâte l'heure
De ce grand lendemain—l'humanité meilleure!

„A jeśli prawdą jest to, w co on wierzył, i w co my powinniśmy wierzyć, że świat nasz, pchnięty siłą, o której niema wiedzy, dąży nieprzeparcie do postępu, Wiktor Hugo będzie coraz olbrzymiał w pamięci ludzkiej, w miarę zaś jak obraz jego usuwać się będzie w daleką głąb czasów, ukaże się im jaśniej i jaśniej, jako poprzednik panowania na ziemi—sprawiedliwości i miłości ludzkiej.”

Jest to najlepsza pochwała i najsprawiedliwsze ocenienie wielkiego poety. To, co w nim było słabością ludzką, ludzką pychą mizerną, wadą, lub grzechem, wszystko to dziś zstępuje do mogiły; zostaje to, co było i jest nieśmiertelne w jego duszy i w jego geniuszu, co, pomimo może jego własną wolę, jak metal stopiony w płomieniach ducha, spłynęło i skryształizowało się na wieki w jego nieśmiertelnych utworach. My, obecni, współcześni, widzimy jeszcze plamy i rdzę na tych złotych brylach; przyszłość zobaczy jasny i czysty kruszec, i będzie się nim wiecznie lubować, jak drogiemi klejnotami bożego skarba!

Jego tak długie życie, całe poświęcone pracy, jego dzieła, na których geniusz poety niestarte piętno swojej wycisnął potęgi, jego oddalenie się z ojczyzny, którą widział w mocy nieprawej; jego niezawisłość, godność postępowania; jego ciągle domaganie się wszystkiego, co mu się zdało sprawiedliwym i ludzkim—wśród tego narodu wrażliwego, namiętnego ale rozkochanego w tem, co piękne i godne, wszystkie okoliczności wytworzyły W. Hugo, wielkie i wcale odrębne, wyłączone stanowisko we Francyi. Ażeby w tym kraju francuzkim, w tem mieście Paryżu, człowiek mógł sobie wyrobić takie miejsce, takie stanowisko, takie imię—na to potrzeba zbiegu wypadków, okoliczności, zdarzeń gromadzonych powoli, ziarno po ziarnku—i złączonych takim cementem, jaki jedynie dać może prawdziwy, narodowy, ojczysty geniusz.

Nic więc dziwnego, że skoro tylko wieść się rozbiegła o ciężkiej i niebezpiecznej chorobie wieszczą, naprzód wszyscy jego przyjaciele, znajomi, wielbiciele zaczęli się zbiegać tłumnie do jego mieszkania, jedni prowadzeni uczuciem, drudzy ciekawością, a nakoniec i tacy, którzy szli, aby imię swe zapisać na otwartym rejestrze i razem z poetą przejść do potomności! Niesłoty!

Nic więc dziwnego, że w ślad za tymi piewszymi, co otwarli szeregi wiernych, poszli nakoniec, i ci, których prowadziła, prosta brukowa ciekawość, bo jak mówił poeta nasz:

A ludzie? czy to pogrzeb, czy wesele
Śpieszą!

A kiedy nakoniec niezliczone dzienniki, coraz to dorzucając nowych drzewek do palającego ognia ciekawości i niepokoju publicznego, ogłosiły na raz śmierć ukochanego, w tej chwili nad wszelki wyraz poety, ciekawość publiczna doszła do najwyższego swego paroxyzmu—i ta trzymilionowa stolica ruszyła, jak na odpust, na ulicę Eylau (Dziś „Wiktora Hugo”) literalnie oblegając dom, gdzie mieszkał zmarły, jakgdyby spodziewała się, że zmartwychwstanie i, jak ewangeliczny Łazarz, wyjdzie z grobu i ukaże się jej oczom.

Jest to zwykły objaw ciekawości tutejszej; ale w tem gapieniu się Paryżanów w tej chwili było coś więcej, niż prosta, brukowa ciekawość; było to uczucie, nieokreślone może, bezwiedne, jak sobie chcecie to nazwać, przytem jednak głębsze, szlachetniejsze uczucie, które tyleż przynosi chluby dla imienia zmarłego, ile czyni zaszczytu tej ludności Paryża. Tym razem, bez żadnej metafory powiedzieć można, że oprócz chorych i niedołężnych, w te dziesięć dni, od 22 Maja do 1 Czerwca, cały Paryż się przesunął przed domem zmarłego.

Przechodzimy teraz do ostatniej chwili, do pogrzebu, albo, jak ludzie tutejsi nie bez pewnej przesady nazwali to: do apoteozy poety! To przymieszanie pogańskiej nomenklatury, dobrze przystało do myśli, tak zwanych „Wolno myślących” i Łóz Masonskich, dla których przyswojenie

sobie takiej indywidualności, jak Hugo, musiało być zbyt ponętne, aby mieli pominąć sposobność pokazania jej *urbi et orbi*. Z tego-to źródła wypłynęły takie ogłoszenia, jak ów niby testament, złożony w rękę p. Vacquerie:

„Zostawiam 50,000 fr. dla biednych.”

„Pragnę być odwiezionym na cmentarz na wozie (corbillard) ubogich.

„Nie chcę (text opiewa: „Je refuse”) modlitwy żadnego kościoła (wyznania); proszę wszystkie dusze o modlitwę. Wierzę w Boga.”

Poeta tedy wierzy w Boga, ale odrzuca modlitwy tych, którzy służą Bogu, a razem prosi o modlitwę wszystkich. Widać, że to była *licentia poetica*, w chwili przystępu zgorzkniałej myśli. Lepiej było odłożyć to na stronę, ale u drzwi czekali bracia, dla których to było sztandarem i chlubą; a więc po śmierci jeszcze daliśmy polityczny epilog: była to zresztą jedna z mrzonek zmarłego—to traktowanie z Panem Bogiem zapanbrat.

Nieboszczyk w ostatnich latach był jakby wkurateli osób, które składały jego przybraną rodzinę, jak: p. Lockroy synowa, a w powtórne małżeństwie za p. Ed. Lockroy, deputowanym, p. Vacquerie, dyrektor dziennika *Le Rappel*, brat zmarłego zięcia W. Hugo, który wkrótce po ślubie z Leopoldyną, córką poety, utonął nieszczęśliwie wraz z żoną w oczach rodziców (1843 r.), przypadkiem, w Hawrze.

Nic więc dziwnego, kiedy wszystko, przez ich tylko musiało przechodzić ręce, że ten testament ogłoszony został przedewszystkiem, iż tak znaczne uczucia, jakimi prowadzeni byli X. Biskup Freppel i Kardynał Arcybiskup Paryżki, nie znalazły drogi do uszu umierającego, — i apoteoza pogańska stała się najodpowiedniejszym wyrażeniem myśli, która miała kierować całym obrzędem pogrzebu.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

XLIX.

Pół miliona, komedia w 5 aktach wierszem, Władysława Sabowskiego, odznaczona na konkursie krakowskim, przedstawiona po raz pierwszy na scenie Teatru Letniego w dniu 6 Czerwca 1885 r.

Można pisać dobre wiersze, a przytem nieosobliwe komedye; dowiódł tego autor *Pół miliona*. Wierszowi, wogóle potoczystemu, wysłowieniu, ze względu na czystość i nawet plastyczność zasługującemu na uznanie, zarzucić można niewiele; komedia jako budowa, wzniesiona przez twórczy rozum artystyczny, dźwiga na sobie zarzuty ciężkie. Jak sobie z niemi poradził, i czy wogóle radzić sobie potrzebował, konkurs krakowski?—tego zagadnienia rozstrząsać tu nie będziemy; objaśnienie jednak, że komedia odznaczoną została na konkursie, do niczego nas obowiązuje. Nie możemy się również krępować i stosunkami, jakie nas łączą z autorem. Powiemy prawdę szczerze i bez ogródki: komedia jest złą, publiczność nie dopuszcza się żadnego występku, jeżeli na nią nie ucześnie, scena nic-by na tem nie straciła, gdyby jej pozwoliła była na uboczu pozostać. Jest to płód dawniejszych jeszcze czasów, jeżeli się nie mylimy, z tej jeszcze epoki Sabowskiego, w której powstały, napisane według pomysłu Narzymskiego, *Poświęcenia*. Wolelibyśmy, żeby rzecz oryginalna była zarazem i rzeczą dobrą, ale przykry obowiązek nakazuje stwierdzić, że jest—tylko oryginalną.

Pani Warska, właścicielka dóbr, ma córkę Zofię (p. Ostrowska i p. Wiśnowska) kobietę z temperaturą serca na zero—chłodną, wyrachowaną, karyery tylko i użycia szukającą istotę. Odbijać ma od niej jako przeciwstawność estetyczna siostrzenica p. Warskiej, Jadwiga (p. Ładnowska). Ta znowu czuje głęboko, kocha szczerze,

karyery nie szuka, chce tylko serce swoje uszczęśliwić. Gdzieś u wód poznała p. Wacława Ożywskiego (p. Kotarbiński), obywatela ziemskiego, którego świat ceni na pół miliona, a którego widząc oceniliby całkiem inaczej, gdyby go autor nie był mglistą zasłoną obrzucił. Ten p. Warski przedstawia się jako glina człowiecza lepszego gatunku, ale jeszcze nie człowiek: zrażony jednym odezwaniem się Jadwigi, po zapalach dla niej, Ignie do Zofii, wreszcie powraca do pierwszej miłości, dzięki tylko pośrednictwu p. Karola Cięckiego (Tatarkiewicz), który ciętość swoją objawia głównie bezzębnością, choć Bogiem a prawdą, czas by mu już było się ożenić. Zimna p. Zofia trzyma sobie w odwodzie i p. Artura Olskiego (pana Prażmowskiego), który po wszystkich kwiatach już motylkował i na żadnym jakoś spocząć nie mógł. Gdyby się nie udał zamach na pół miliona, dobry będzie i p. Artur. Marzenia błogie, zepsutej już moralnie, choć jeszcze nad przepaścią nie stojącej, kobiety, mąci zjawienie się hrabiego Drabickiego (p. Wolskiego), który już nie z półłódkami, ale z całymi milionami na scenę wjeżdża. Panna wszystko trzyma, niczego nie puszcza, bo ze wszystkiego może mieć przyszłość jako żona, a idzie jej właśnie tylko o to, aby zostać żoną nie-biednego człowieka.

Pan Cięcki jak wszyscy ludzie, którzy się wczas nie ożenili, jest dowcipnym a dobrym, jest dobroczyńcą ludzkości i lubi robić dla drugich to, czego nie zrobił dla siebie. Najpierw podziela błąd Warskiego co do Jadwigi i skazuje ją na wygnanie z serca młodzieńczego, później, gdy usłyszał jej zwierzenie, gdy poznał bezinteresowność, gdy mu opowiedziano historię zaręczenia w kołyskach p. Jadwigi z p. Drabickim, przechodzi na jej stronę i fortem dość trywialnym przez podstawienie telegramu pod fałszywym adresem rozrywa związek Warskiego z Zofią. Oczywiście, że po takiej katastrofie Zofia złapaną we własne sidła musi już ustąpić Jadwidze. Okazuje się, że pieniądze stracone u jakiegoś bankiera, niewystępującego w sztuce—co mu się za dobre uważa—były pieniędzmi, nie Warskiego, ale Drabickiego. Panna zatem naraz znajduje się i bez wróbla w garści i bez szczygła na dachu; Jadwiga wychodzi za Warskiego, *lege artis*, wszystko kończy się szczęśliwym małżeństwem; Artur zostaje dla p. Zofii w odwodzie. Niezadowoleni tylko być muszą przystawieni do sztuki pp. Wirkowsy i pp. Samowicze z córkami, którzy przez krótki czas, aż do aktu III-go polowali także na pół miliona, ale później dół pokój polowaniu, zobaczywszy, że zając ucieka przez pola i nie da się złapać na hotelowe grzechotki.

Od grzeczności tych zaczyna się sztuka; pierwszy akt przedstawia nam p. Dubelcika, właściciela hotelu, w jednym z większych miast, lokującego pana Ożywskiego w zimnym pokoju, bez szyb, pieca, stołu i stołków, ale w sąsiedztwie obu polujących rodzin. Samo to wprowadzenie akcji nieosobliwie już przemawia za architektoniką sztuki; można się było wybornie obyć bez tego pierwszego aktu, który daje nieosobliwe wyobrażenie o p. Ożywskim; jeżeli bowiem młody ten półmilionowy szlachcic nie umiał się oprzeć takiemu p. Dubelcikowi (p. Żybskiemu), cóż dopiero będzie, gdy weń zatopi szpony swoje p. Zofia? Bez tego całego aktu wstępnego wybornie mogła się rozwinąć sztuka; stołki i stoły bez nóg, hotele bez szuflary, piece bez ognia, niespodzianki sąsiedzkie i tym podobne rzeczy bawią już dziś raczej dzieci niż dorosłych, a przytem ubliżają p. Warskiemu, który za swego pół miliona mógłby nawet samego Dubelcika z mieszkaniem prywatnego bardzo wygodnie wyparować. Autor jednakże potrzebował tego hotelu dla hotelowych epizodów, dla polowania na męża przez dwie rodziny obok stojące; zdawało mu się, że będzie to bardzo dowcipne, dla dowcipu zatem poświęcił duszę sztuki—jej rozumną i na charakterach opartą całość.

Tożsamo powtórzyło się przy przy Drabickim, którego komizm ma się przejawiać w jakanii. Powiedzmy tu słowo o rzetelnym komizmie. Dlaczego nie mamy komedii? Bo autorowie nie starają się o to, aby komedia żyła w samych tych

postaciach, które na scenę wywołują. Jeżeli forma przejawiania się duchowej treści ludzi komedycznych nie ma w sobie komizmu: jeżeli to nie są charaktery komiczne, to „krzycz jak czajka: nie przyjdzie bajka.“ Poważny czy pozytywny, wiek dzisiejszy nie sprzyja komizmowi; mamy albo podkasane farsy, albo podszyte tragedią sztuki niby komiczne. I tak jest na całym świecie. Francuzi dają nam już teraz „des pièces de théâtre“, poznawszy, że nadużywają nazwy „comédie“; Niemcy jeśli nie wpakują publiczności do szopki, to zamęczą ją w atmosferze jowiszowych nudów; i my ratujemy się, jak możemy, to jednym, to drugim, ale do komedii jakoś dojść nie możemy. Błogosławione czasy Fredry minęły. Troska zaciężyła na duszach, chmury poprzygniatały wyobraźnię; a przytem komedia to satyra i poezja w jedno złączone: do satyry jakiej-żeb potrzebna wyższość umysłu i charakteru; a poezja?—czy jest modlitwa, któraaby aniola tego z niebios na ziemię sprowadzić mogła?

Pisze się zatem „sztuki teatralne“ coś, co ma mieć i myśl poważną i słowo rozśmieszające. Ale i w takich sztukach niewiernych swej nazwie najmniej dba się o to, co wszelkiej sztuce dramatycznej jest najważniejszym: o człowieka. Jeden drugi frazes dowcipny lub głęboki, płaski lub rzewny—wystarczy; frazeologia podbiła wszystko; ludzie nie wychodzą z ludzi; krew prawdziwego talentu dramatycznego w żyłach ojców nie tętni—jakież mogą być dzieci? Potomstwo suchotnicze umierające po pierwszym odetchnieniu powie trzem scenicznem. Nie możemy mieć komedii, bo *dira aetas*; ale dajcież nam sztuki teatralne nowego rodzaju XIX wieku, byle w nich było widać i czuć człowieka. Działwo Apollina! widzisz, co innego jest napisać lirykę, pean, epopeję, choćby powieść, a co innego napisać dramat. Tu już człowiek bez pośrednictwa niczyjzego, bez maski i bez kostiumu, jakiby na niego mogła nałożyć indywidualność autora, liryczny czy bohaterki subiektywizm—tak jak jest w pomysłach, przedstawieć się musi w plastyce myślowej piszącego; potrzeba tylko żywej osoby fizycznej aktora, aby mógł być żywy człowiek na scenie. Syny i córki Apollina, ojca piękności i geniuszu! nie udawajcie, że te figury wasze żyją; wy je tylko w ruch wprowadzacie, z pomocą nitek przed wzrokiem widza ukrytych.

Dla Sabowskiego jedynym zadaniem godnym dramaturga było przeciwstawienie charakterów Jadwigi i Zofii, ludzających pozorami w kierunku wprost przeciwnym treści: Wacław łapie się na uczciwość sztuczną Zofii, a nie widzi szczerzej uczuciowości Jadwigi. Lecz taki temat mógł się plastycznie usnuć tylko na głęboko wyrzeźbionych charakterach obu kobiet. Trudno zaś o płytsze dłu, gdy się patrzy zwłaszcza na tę Jadwigę Sabowskiego. Żadnej tu oryginalności, żadnej własnej namietności, własnego serca. Przyznajemy, że artystka grała nieszczególnie, że w grze jej czuć było zawiele drewna i lodu; ale najdoskonalsza nawet gra nie stworzyłaby z tej Jadwigi charakteru samoistnego, trzymającego się własną swą siłą. Z całej komedii najlepszy jest Cięcki; trochę życia indywidualnego jest w Zofii; reszta przypomina figury z tektury. Takich Drabickich, takich Warskich, takich Samowiczów i Wirkowskich, takie mamy Warskie, można fabrycznym sposobem wyrabiać w patronach *ad hoc* przyrządzonych. Czem się to odznacza? Czem żyje? W sztuce żyje się tylko oryginalnością swoją, niepodobieństwem swem do innych istot; nawet natura nie wyda dwóch liści do siebie podobnych, a oileż sztuka wyższą być musi!

Pół miliona grano nieosobliwie, trochę ślamazarnie; co przy jego niemrawości konstytucyjnej łatwo artystom scenicznym wybaczyć. P. Wiśnowska i p. Tatarkiewicz najwięcej dobrego w swych rolach okazali. P. Wolski przesadzał w jakanii; było to dobre może dla nielicznego już na trzecim przedstawieniu paradyżu, ale wątpimy, aby odpowiedziało zamiarom autora. P. Ładnowska podjęła się roli nieodpowiedniej: już-to entuzjazm nie dla niej, a Jadwigę tylko jako entuzjastka da się znieść na scenie. Aktor musi tu być tłumaczem i dopełniaczem autora. Najzupełniej mechaniczne przyczepienie Wirkowskich i Samowiczów

do Warskich, Drabickich etc., nie pozwoliło im odegrać żadnej roli rzeczywiście już rolą będącej. P. Galasiewicz był dobrym lokajem; a czy p. Agnieszka kochanego swego Jędrusia ciszej lub głośniejsz apostrofuje—nie to ani jej samej ani sztuce wdzięku nie doda: utwór chybiony. Można go było dać od razu na świeżo; po latach kilkunastu miał już prawo do spoczynku.

Stanisław Krzemiński.

Warunki życia we wszechświecie.

W kwestyi oddawna zaciekawiającej w najwyższym stopniu umysłu, a mianowicie: czy życie istnieje na innych planetach, równie jak na ziemi?—wywiązała się żywa polemika pomiędzy dwoma znakomitymi astronomami francuskimi pp. Faye i Kamilem Flammarion'em, autorem słynnego dzieła *Wielość światów zamieszkiwanych*.

W przeglądzie miesięcznym *Astronomia*, wychodzącym w Paryżu, z miesiąca Maja r. b. znajdujemy odpowiedź Flammariona na zarzuty pana Faye'a, poczynione hipotezie zamieszkalności w rozmaitych rocznikach naukowych.

Niepospolicie ponętny dla czytelnika przedmiot,—wytworna forma,—bogactwo nowych spostrzeżeń, niepokonana logika dedukcyi, rzucająca jasne snopy światła na tę kwestyę, czynią artykuł Flammarion'a tak pociągającym, że byłoby grzechem podać go w suchem streszczeniu: z tej też racyi zamieszczamy go w dosłownym przekładzie, w takich ciągach, w jakich będą publikowane.

I.

Od lat dwudziestu p. Faye stawia w swych dziełach w *Roczniku Biura długości geograficznej*, w rozprawach *Stowarzyszenia naukowego* i t. p. przeróżne zarzuty doktrynie naukowej i filozoficznej Wielości Światów, które-to zarzuty poruszyły wielu czytelników, dopraszających się od nas oddawna odpowiedzi. Co do niej, wahał się tak ze względu na sympatyczny szacunek, jaki nas zawsze wiązał osobiście ze znakomitym astronomem francuskim, jak niemniej i z tej uwagi, iż według nas, zarzuty te nie zachwiały w niczem naszych przekonań, czerpniętych z bezpośrednich studyów nad naturą. Dziś jednak, po otrzymaniu w tym przedmiocie kilkuset listów ze wszechczęści świata, poczytujemy sobie za najściślejszy obowiązek być posłusznymi mandatu, który stał się prawie nakazującym. Nie powołując się tu, jako na usprawiedliwienie, że dzieło nasze: *Wielość światów zamieszkiwanych* od ćwierci stulecia jest przełożone na wszystkie prawie języki w świecie i liczyło przeszło sto tysięcy czytelników, że poglądy rozpowszechnione w świecie przez naszą *Astronomię popularną* i przez nasze *Ziemie niebieskie* są znane większej jeszcze liczbie; że w dziennikach, przeglądach, rozprawach od lat dwudziestu pięciu przemawialiśmy do wielu milionów słuchaczy—musimy przyznać się, bez fałszywej skromności, że, słusznie czy nie, poczytują nas za rzeczywistego reprezentanta doktryny wielości światów, za obrońcę i rzecznika życia istniejącego poza obrębem ziemi.

Zaiste, mieszkańcom Marsa lub systemu Syryusza bynajmniej nie nie szkodzi, czy wierzymy lub nie w ich istnienie i najniezawodniej opinii istotek ziemskich co do nich jest im najzupełniej obojętną. Wszelako my istniejemy na ziemi; przyjaciele nasi zaczynają ganić nasze milczenie i oskarżać, że nie nie odpowiadamy na wymowne zarzuty, stawiane hipotezie istnienia mieszkańców innych światów, przez uczzonego akademika francuzkiego: zrobilibyśmy więc najgorszy wybór, uznając się zwyciężonymi wówczas, gdy zwyciężamy siłą samej prawdy.

Ograniczymy się tu na przytoczeniu dosłownem

argumentów naszego przeciwnika i okazaniu, że nie posiadają one całkiem takiego znaczenia, jakie im ich autor nadaje.

Dla poszukujących tu kwestii osobistych, byłby czas straconym; chodzi bowiem jedynie tylko o kwestyę w sprawie naukowej. Gdyby nam się zdarzyło być gdziekolwiek nieco żywszymi w tej walce na brzoń szlachetną, uczony nasz mistrz pierwszy-by nam przebaczył, nie przypisując sobie zresztą wielkiej w tem zasługi. Wiemy z góry, że nasze dowodzenia nie zmieniają w niczem jego sposobu zapatrywania się, i mamy to głębokie przekonanie, że tak po tej odpowiedzi, jak i przed nią, p. Faye będzie głosił, że ziemia jest najprzedszyim światem i wyłącznie ona tylko godną jest posiadać akademie i obserwatoria. Jednakże nie wyrzekamy się jeszcze nadziei. Czcigodny nasz przeciwnik należy do rzędu tych umysłów wybranych, które uznają dobrowolnie, że się pomyliły. I tak, na przykład, między innemi, oddawna już żalowaliśmy, niekiedy z pewnym rodzajem zniecierpliwienia, widząc go opierającym się związkowi, jaki istnieje pomiędzy magnetyzmem ziemskim a fluktuacyami działalności słonecznej. Otóż na jednym z ostatnich posiedzeń Instytutu, oświadczył on w końcu, że zmienił swój pogląd i prawdę uznaje. Spodziewamy się, że podobnie stanie się i z dzisiejszym przedmiotem sporu.

II.

Kepler, Galileusz, Newton pozostawili na kartach wiedzy to pojęcie, że ziemia nie ma tak ważnego znaczenia, jakie jej nadawała Starożytność w epoce, w której rozumiano, że pozostaje ona nieruchomą w posrodku wszechświata. — „Wmówiono w siebie, pisze p. Faye w pracy swej *O pochodzeniu świata* (Sur l'origine du Monde), że wszechświat musi się składać z nieskończonej ilości światów, z których każdy, równie jak i nasz, ma słońce za ognisko; że te rozległe skupienia nie mogą być stworzonymi bez celu; że ziemia, pod wszelakim względem niewiele znacząca, nie może mieć wyłącznego przywileju posiadania jestestw żywych i intelligentnych.

„Widzieliśmy to pojęcie rodzące się pod piórem Newtona. Światy zamieszkiwane, życie rozwinięte do zbytku w całym wszechświecie, w najrozmaitszych kształtach—jakież to rozległe pole dla wyobraźni!

„Tak dla wyobraźni, lecz nie dla nauki, gdyż nauka, wychodząc z dziedziny faktów, pozostanie co do tej kwestyi niemą. Nawet w naszym własnym systemacie słonecznym planety są zbyt odległe, abyśmy mogli, choćby przy użyciu najsilniejszych teleskopów, odróżniać na nich istoty żyjące lub pośrednie ślady ich istnienia. Co się zaś tyczy planet, z którymi nam się podobało wiązać miliony słońc, nie widzimy ich wcale i nie ujrzymy nigdy.

„Owóż prawie i wszystko, co może potwierdzić astronom w tym przedmiocie. Spójrzcie na strop niebieski a przyznacie, że z tych miliardów gwiazd jakie wam uwidomią lunety, żadna nie jest zamieszkaną, gdyż wszystkie te gwiazdy są w stanie rozżarzenia; żadna też z nich nie będzie nigdy zamieszkaną, gdyż w epoce ich oziębienia się, a zatem w chwili, w którejby mogło jestestwo żyjące stawić kroki po ich wystygłej i krępkiej skorupie, nie będzie, z powodu olbrzymiej odległości je przedzielającej, słońca o tyle sąsiedniego, aby im mogło przesyłać ciepło i światło.”

Takiem jest dowodzenie p. Faye'a, i w tych jego słowach tkwi sam rdzeń jego myśli. To dowodzenie, o którego odczytanie, dosłowne i ocenienie jak na to zasługuje wysokie stanowisko autora, prosimy naszych czytelników, mogłoby być wyrażone zwięźlej, nie tracąc na swem znaczeniu, w słowach następnych:

Istnieje we wszechświecie to tylko, co widzimy. Nie widzimy zaś ani planet, które mogłyby istnieć około innych słońc, ani mieszkańców mogących istnieć na planetach naszego systematu słonecznego. Ziemia temsamem, jest jedynym światem zamieszkanym.

Czyż takie dowodzenie jest wistocie poważnem? Tak, jeżeli autor chce wyrazić z jednej strony, że milionów słońc błyszczących w nieskończonej przestrzeni nie otacza żaden systemat planetarny, a z drugiej strony, że planety naszego systematu są niepodatne do poczęcia się na nich życia. Rozpatrzmy się najpierw w pierwszym punkcie tego orzeczenia, pozostawiając sobie na potem rozbiór punktu drugiego. Otóż co do pierwszego punktu, autor przypuszcza, że wyłącznie tylko słońce nasze zrodziło rodzinę światów. Przyjmujemy to do wiadomości; wszelako czyż miliony innych światów mają błyszczeć, nie nie oświetlając, przebiegać swe cykle, nie nie produkując? Jeżeli taką w istocie jest myśl autora, o czem niepodobna wątpić, ponieważ w innym razie dowodzenie jego nie miałoby żadnego znaczenia, ograniczymy się tu do zaznaczenia jej i sądzimy, że to już wystarczy.

Wyobrazić sobie nicość powszechną i wygłaszać ją jako wyższą od wielkiej doktryny Keplera, Galileusza, Newtona, Laplace'a, Herschel'a, jest niezaprzeczenie ideą oryginalną; pozwolimy sobie jednak z naszej strony orzec, że owa idea nie ma podstawy naukowej. Co gorsza, nie ma ona sobą żadnego prawdopodobieństwa, gdyż stara się przedstawić przyrodę, którą znamy, systemat świata, w którym żyjemy, jako wyjątek. Sama w sobie zresztą idea ta sprzeciwia się wiedzy, ponieważ od wynalazku teleskopu i mikroskopu, wszystkie postępy nauki okazały nam stopniowo rzecz wprost przeciwną, to jest, że oczy nasze nie znały prawie nic z tego, co istnieje w rzeczywistości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Na Wystawie Radomskiej było wystawczyń 22. Nagród, to jest listów klasy 1-ej wypadło na dział tychże wystawczyń sześć: Ciosłowska z Radomia za kwiaty sztuczne; Nieciecka Michalina z Kossowa za jeden piernik i pieczywo pszenne, drugi za kury; Jabłzykowska z Mirca za kaczki; Walerya Rakowska z Zawichosta za kury; Maryanna Ziemia z Modrzewia za tkaninę wełnianą. Listy klas. II ej otrzymało wystawczyń cztery: Boska Antonina z Dobruty za płótno, przedzie i len włociański; Domagańska z Jedlni za tkaniny włociańskie. List klas. III-ej przyznano Tekli Kolańskiej za skrzynkę i stoł. Razem wystawczynie radomskie otrzymały listów nagrodowych jedenaście.

— Sprawozdanie z dwuletniej działalności Schronienia Nauczycielek wykazuje nie tak wprawdzie pomyślny, jakby sobie życzyć można, niemniej rozwijający się zawsze stan tej instytucji. Schronienie, jak wiemy, przyjmuje nauczycielki emerytki na pomieszkanie stałe za złożeniem 1,000 rs., lub czasowo przebywające nauczycielki za opłatą pół rubla dziennie, co jest niezmiernie tanio, zważywszy wygodne pomieszczenie w Zakładzie, którego to pomieszczenia warunki czytelnicy pisma naszego znają, jak również jego spokój i pewność, że tu już nic przykrego, nie uciążliwego dobrze wychowanej kobiecie spotkać jej nie może. Sama przełożona zakładu, niegdy też nauczycielka, osoba pełna taktu i ofiarności p. Helwich, już to poręcza niezawodnie. Regulamin nie jest uciążliwym, ogranicza się do stałych godzin zbierania się do stołu, co ma miejsce w każdej rodzinie i znajdowanie się w domu o 9-ej godzinie wieczorem. W 1883 przyjęło Schronienie w domu swoim sześćdziesiąt trzy osoby, z tych mieszkanek stałych było 15, przebywających chwilowo w zakładzie 48. W 1884 przybyło stałych mieszkanek pięć, że zaś umarła jedna z dawnych, było razem 19; mieszkanek czasowych przebywało

65. W roku bieżącym z powodu znów jednej śmierci, znajduje się stałych mieszkanek 18. Z wykazu przedstawionego przez zarząd dowiadujemy się, że z wpływów, które pochodzą: z rocznie wnoszonej opłaty członków 10 rs., dla członków rzeczywistych, 5 rs. dla członków wspomagających — z ofiar osób postronnych, z kwesty wielkanocnej i zasiłku Towarzystwa Dobroczynności, miało Schronienie w roku ubiegłym 5,724 rs. Wydatek wynosił 5,588 rs., zatem pozostaje jeszcze remanent, co, zliczywszy ilość osób, które przebywały w zakładzie, daje dowód wielkiej gospodarności zarządu. Według cyfr wykazu całkowite utrzymanie jednej osoby wynosiło około półpięta zł., żywność około półtora, przyczem trzeba dodać, że żywność ta zdrowa i obfita jest podawana cztery razy dziennie, co zadawalniać musi każdy już organizm.

Przy przeglądaniu listy tak członków zakładu, jak przebywających w niem nauczycielek, zadziwić musi w stosunku do ludności nietylko miasta naszego, ale kraju, niezmiernie mała cyfra tak jednych, jak drugich. Ze nauczycielką przybywającą do nieznanego, lub mało znanego jej miasta, zwłaszcza osoba młoda, powinna zwracać się do Schronienia, unikając pomieszczenia w kantorach stręceń, nietylko dużo drożej kosztujących, ale często przedstawiających niedogodności, niestosowności bardzo wielkie—zdawałoby się rzeczą, do której nie potrzeba już pobudzać. A choć się zdarza, że nawet cudzoziemki, dobrze poinformowane wprost z kolei przybywają do Schronienia, prosząc o pomieszczenie, jednak miejscowe nauczycielki nie zdają się rozumieć dostatecznie wszystkich, wysoce cennych zalet, polecających za mieszkanie w Schronieniu. To samo zadziwienie, a nawet w stopniu wyższym ogarnia każdego rozsądnego człowieka, gdy się dowie, że nie wszystkie nauczycielki, lecz tylko stosunkowo bardzo nieznaczna ich liczba została członkami tej instytucji, zbawiennej dla nich, zważywszy wielkie przywileje, jakie to za sobą przynosi, a zwłaszcza bezpłatna a pewna lokacja w razie zmiany miejsca i prawo przytulenia się tam na starość: gdy siły wyczerpane pracować nie dają, a żaden dach gościnny z przyjęciem już nie czeka. Czy to jest taka niedbała o jutro apatya, którą Zmichowska w *Listach* swoich nazwała wadą narodową? Czy może nie wiadomość? A przecież wszystkie pisma, tak, jak i nasz *Bluszcz*, rok rocznie to ogłaszają. Dodać tu należy, że 60 nauczycielek, które w roku ubiegłym w zakładzie pomieszczenia szukały, znalazły sobie za jego pośrednictwem zajęcie. Gdy się zakład ten otwierał, sądzić było można, że wszystkie kantory stręceń, mieszczące nauczycielki krajowe znikną zupełnie, jako opróżnione. Powtarzamy zadziwienie nasze i żal, że tak nie jest. Matki lub ojcowie rodzin, stając się członkami Schronienia, korzystają bezpłatnie z przywileju następczonej im przez zakład nauczycielki.

W osadzie Izbica, w Powiecie Kolskim, brak jest zupełnie nauczycielki zdolnej przygotowywać dzieci do szkół średnich. Nauczycielka taka, któraby tam osiąść zechciała, mogłaby liczyć na 30 do 40 rs. miesięcznie dochodu; jest wprawdzie wynagrodzenie bardzo mierne, ale utrzymanie w Izbicy jest równie tanie. Osoba pragnąca bliższych wiadomości, potrzebuje tylko zwrócić się listownie do obywatela tamtejszego, p. Lucyana Majewskiego, a otrzyma je natychmiast.

— Mapa poglądowa Królestwa Polskiego układu p. Wójcickiej, opuściła już prasę. Pedagogicznego jej znaczenia nie potrzeba dowodzić, a chromolitograficzne jej wykonanie nie pozostawia nic do życzenia. Na wystawie kartograficznej we Frankfurcie nad Menem poglądowa mapa Europy, p. Wójcickiej otrzymała nagrodę i znalazła natychmiast wydawców, pragnących nabyć od autorki prawo jej wydania.

— Nakładem p. Maryi Drasch, wystawczyńi sztucznych klejnotów, wybitym został pamiątkowy medal tegorocznej wystawy. Jedna strona medalu przedstawia dwie postacie: kobietę żniwiarzkę z sierpem w ręku i wieńcem kłosów na głowie, jako symbol gospodarstwa rolnego, męż-

czyzną, jako symbol przemysłu. Na drugiej stronie herb Warszawy i napis: „Pamiętka z Wystawy 1885 r.” Część rytownicza medalu jest dziełem p. Witkowskiego.

— W Kaliskiem, we wsi Sławsku pod Koninem został otwartym przez miejscowego dziecka sklep z rozmaitym towarem, mogącym odpowiadać potrzebom włościan. Sprzedaż za stosownem wynagrodzeniem powierzono kobiecie. Przez ciąg pierwszego kwartału utargowano towaru za 2,000 rs.

— Gazeta *Kaliszanin* czyniąc słuszne uwagi, że wpośród kobiet naszych nie ma dotąd tak wybitnych cech emancypacji, jak to się zdarza w innych krajach Europy, dodaje, że jednak równoprawnienie obywatelskie przysługiwało zawsze naszym kobietom w stopniu wyższym, niż gdziekolwiek indziej. Na dowód przytacza Gazeta fakt z dziejów miasta Kalisza, zanotowany w pamiętnikach kanonika Kolegiaty Kaliskiej, ks. Kitowicza. Gdy w d. 25 Listopada 1791 r. na zjeździe obywateli Województwa Kaliskiego, mężczyźni wykonywali w kościele Ś-go Mikołaja przysięgę na wierność, kobiety przystąpiły po nich do tego aktu. Ksiądz Kitowicz przy wspomnieniu o tem pisze: „Ta nowość kobieca żadnego podziwienia i zastanowienia się stanem sejmującym nie uczyniła”.

— Siostra Miłosierdzia, przełożona nad Kaliskim Przytułkiem Starców i Kalek, spotkała się ze wzruszającym objawem wdzięczności biedaków, nad którymi rozciągała starannie tkliwą opiekę. W dzień imienia swoich, przypadających w połowie ubiegłego miesiąca, wychodząc rano na codzienne nabożeństwo, ujrzała drzwi swoje umajone zielenią i ozdobione kwiatami, w kościele zaś, w miejsce zwykłej mszy cichej, wotywę, odprawiającą się na intencję jej zdrowia i pomysłności, a zamówioną przez biedne starowiny, które składały się na to po kilka groszy. Dwóch, nieco silniejszych, dziadusiów wyprawiło się przed świtem do lasu dla zbierania zieloności i kwiatów.

DROBNE LISTKI.

Bogactwo języka nie wszystkim, którzy nim mówią, służy jednakowo. Angielski lingwista Marsch pisze, że mowa angielska ma 100,000 wyrazów na posługę ludzi wykształconych, artystów i uczonych. Ledwo połowa ich bywa używaną w potocznej mowie nawet klas inteligentnych, a jest bardzo wielu dobrych mówców i pisarzy, tak angielskich, jak amerykańskich, którzy ograniczają się do 10,000 wyrazów, gdy pospolicie ludzie średniego podniesienia umysłowego, używają ich najwięcej 3,000, do 4,000. Ktoś chcący bez odpowiednich studiów poprzednich decydować, który z pisarzy angielskich najobficiej czerpał ze skarbcza mowy ojczystej, wymieniliby niezawodnie Shakespeare'a, a potem Milтона, przecież omyliby się, bo zasób wyrazów Shakespeare'a nie przechodzi 15,000, a Milton nie użył w całości 8,000. Stary Testament zawiera 5,642 wyrazów; wszystkie egipskie hieroglify razem wzięte mało co więcej nad 800, a słownik potocznej mowy włoskiej jest niewiele rozleglejszy.

— **Wojsko cieniów.** Na wystawie Paryżkiej zwracał szczególną uwagę ludzi z poetycz-

niejszym uczuciem wielki obraz, zajmujący pięćdziesiąt stóp ściany w wielkim *Salon Carré*, a noszący tytuł *Solum Patriae*. Jest to armia cieniów, pędząca przed siebie pieszo i konno, niby wielkie głęby chmur, niosących w sobie nawałnicę. Przed niemi otwarte, puste pole, na którem stoją pługi bez oraczy, gdzieś zbiegłych, a które widma te zagarną zaraz i strącają; w ich rękach rozwiane chorągwie z godłami Francji od czasów druidycznych do sztandaru Napoleona z orłem złotym. Vercingetorix w skrzydlatym hełmie galijskim, niesie chorągiew, podobną kształtem do rzymskiej; w pobliżu niego Dziewica Orleańska, a za niemi szeregi wieśniaków uzbrojonych w cepy i lemiesz, na brzoń przekute. Cały obraz wywiera ogromne wrażenie, bo oprócz wspaniałego pomysłu technika jego jest doskonała. Malarz jest Alzalczyk, czy Lotaryngczyk, Frittel.

— **Wielka symfonia** naszego ziomka, Maurycego Moszkowskiego, pod tytułem: „Johanna d'Arc” była wykonaną 22 Maja w Londyńskiej sali koncertowej *Towarzystwa Filharmonicznego*. Pierwsza część symfonii nosi tytuł: „Joanny życie pasterskie” i ma być wysoko piękną, pełną poezji i żywego uczucia, które przechodzi w uniesienie i zapal, a kończy się cudownym objawieniem niebieskiego zjawiska. Następne części są zatytułowane: „Wewnętrzne skupienie”, „Wspomnienia przeszłości”, „Tryumfalna processja do Rheims”, nieco przeładowana luczniemi efektami orkiestry; dalej idzie „Więzienie śmierć i tryumf”, to jest apoteoza. Koniec nie dotrzymuje wielkich obietnic początku, ale mimo to utwór jest piękny, w całości swej podniosły i szlachetny. Moszkowski jest jeszcze młody, rodził się 1854 r. we Wrocławiu.

— **Modrzejowska**, skończywszy występy w Londynie, udała się do Dublina, gdzie była przyjęta z szalonym entuzjazmem. Zasypywano ją kwiatami; wśród mnóstwa wieńców był jeden od literatów irlandzkich, w kształcie herbu Irlandyi: harfy Erynu. Jakiś młodzieniec podał jej bukiet z samych róż, przewiązany wstążką w trzech kolorach z napisem: „Wielbimy cię, bo wielka artystka; kochamy, bo się urodziłaś pod cieniem Wawelu. Ten Irlandczyk znał geografią naszego kraju i historią, jak sądzić można.

— **Najpiękniejsza kobieta w Warszawie**, to tytuł angielskiego romansu, napisanego w trzech tomach, przez Mabel Collins. Ponieważ Mabel Collins знаła się w Londynie z Modrzejowską i napisała o niej książkę, publiczność mogła podejrzewać, że przedmiot powieści jest wziętym z jej życia, tym więcej, że bohaterką jest aktorka, Wanda. Przecież angielska pisarka ze szlachetną uczciwością przeczy temu w przedmowie, nie chcąc zyskiwać sobie sztucznego powodzenia za pomocą fałszu. Powieść jest awanturniczoro-mantyczna, zaczyna się w Warszawie, lecz przenosi prędko do Rumunii, bo Wanda wychodzi za magnata rumuńskiego. Tak ona, jak jej siostra Jadwiga, są szlachetnymi, czystymi kobietami; główny węzeł powieści na tem zależy, że Wanda trzyma wysoko sztandar uczciwej kobiety, najpierw jako artystka, a potem jako mężatka, stając do sporu z cygańskimi obyczajami Rumunek. Jadwiga idzie za Anglika.

— **Cesarz Austriacki** nabył dla wiedeńskiego Gabinetu Numizmatycznego sławną kolekcję monet rzymskich, bitych za cesarza Probusa. Dotychczas ten zbiór rzadki, a wybornie zachowany był własnością Dr. Missong.

Tanie zbiorowe wydanie

POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO

Serya nowa.

W roku bieżącym wyjdzie 20 tomów.

Do obecnej chwili wyszło już tomów 8 (to jest 41—48 ogólnego zbioru) i zawierają następujące powieści:

Zadora,
Kawał literata, w 2-ch tomach,
Orbeka, w 2-ch tomach,
Zaklęta księżniczka,
Ada, tom I i II-gi.

Następne 12 tomów w roku bieżącym wyjść mające, ukazywać się będą w przerwach 3—4 tygodniowych.

PRENUMERATA WYNOŚI:

w *Wnrszawie*:

Kwartalnie (za 5 tomów) rs. 1 k. 50
Półrocznie (za 10 tomów) rs. 3
Rocznie (za 20 tomów) rs. 6
W Warszawie opłacać można miesięcznie po kop. 50.

Na prowincyi i w *Cesarstwie*:

Kwartalnie (za 5 tomów) rs. 1 kop. 75
Półrocznie (za 10 tomów) rs. 3 kop. 50
Rocznie (za 20 tomów) rs. 6.

Wydane w r. 1883 tomów 20 (1—20); i w r. 1884 dalsze tomów 20 (21—40) są jeszcze do nabycia po rs. 6 za każde 20 tomów; z przesyłką pocztą rs. 7.

Michał Glücksberg

Księgarz-Wydawca, Ulica Królewska Nr 5.

OD WYDAWCY.

„*Bluszcz*“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey.

TREŚĆ. Od Redakcyi. — Do Piramid, poezya, przez Szczesną. — Księżniczka Augusta Montléar, Wspomnienie pośmiertne, przez Maryana Dubieckiego. — Czeczotka, Powieść z dawnych czasów, (dalszy ciąg), przez P. J. Bykowskiego. — Praca kobieca na wystawie, przez Maryą Ilnicką. — Śmierć i pogrzeb Wiktora Hugo, Nekrolog. — Warunki życia we wszechświecie, przez W. Niewiadomskiego. — Kronika działalności kobiecej. — Drobnie listki.

Dodatek obejmuje: Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: *Opuszczona*, przez Ms G. W. Godfrey. — 32 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — *Sekrety gospodarskie*. — *Dyspozycją stołu*.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Юня 1885 года.



Nr 1. Sztora z siatkowej gipiury i muślinu. (Do ryc. 2).

Majtki powijakowe szydełkową robotą.

Rycina Nr 30 w Bl. Nr 23.

Majtki powijakowe robią się z miękkiej bawełny średniej grubości, zwyczajnymi stalowymi drutami. Zaczyna się od górnego brzoza, na założeniu z 80 o. Kolej 1 robi się zupełnie gładko. Kolej 2; rząd dziurek wciągania tasimeczki: 1 raz owinać nitkę na drut i przerobić 2 ocz. w jedno. Kolej 3 do 12: robi się w prążki 2 oczka gładko i 2 ocz. odwrotnie. Kolej 13 do 70 zupełnie gładko. Kolej 71: 24 ocz. gładko, 2 ocz. przerobić w jedno, 28 oczek gładko, 2 ocz. przerobić w 1 ocz., pozostałe 24 ocz. zostawić. Kolej 72: 30 ocz. gładko, inne oczka pozostawić. Dalej na 30 ocz. ostatniej kolei, robić jeszcze 68 kolei zupełnie gładko; przy końcu każdej z ostatnich 29 kolei przerabia się 2 ostatnie ocz. w jedno. Następnie zeszyć z lewej strony poprzeczne brzoza 12 kolei w prążki i w miejscu, gdzie się kończy szew, przymocować ostatnie oczko spiczasto zakończonych 68 ostatnich kolei. Potem na pozostawionych ocz., oraz na 8 oczkach zebranych z brzegów pierwszych 12 z tych 68 rzędów, robić 1 kolej zupełnie gładko, potem 12 kolei w prążki i ostatnią kolej gładko na tem zakończyć.

Powijak szydełkową i drutową robotą.

Rycina Nr 31 Blu. Nr w 23

Powijak robi się poprzecznie z żółtawej bawełny, na założeniu z 23 ocz. Kolej 1: Jedno oczko się zdejmuję, 1 oczko gładko, 2 ocz. odwrotnie, 15 ocz. gładko, 2 ocz. odwrotnie, 2 oczka gładko. Kolej 2: Pierwsze oczko zdjąć, 1 ocz. odwrotnie, 2 ocz. gład. 1 ocz. odwrotnie, 13 ocz. gładko, 1 ocz. odwrotnie, 2 ocz. gładko, 1 ocz. odwrotnie, 1 ocz. gładko. Dalej powtarzać 73 razy 1 i 2 kolej (rzędy oznaczone nie parzystymi liczbami, stanowią prawą stronę roboty) i zakończyć robotę. Następnie zebrać na drut oczka podłużnego brzoza i robić kolej 1: odwrotnie wszystkie ocz.; potem 6 kolei w prążki (2 oczka odwrotnie i 2 oczka gładko) 1 kolej gładko i zakończyć. Z drugiej strony pasa robi się toż samo, a na końcu jeszcze ząbki szydełkiem: 2 ścis. ocz. w 2 następne oczka i 2 oczka ścis. przedzielone dwoma ocz. pow. w jedno następne oczko. W końcu trzeba zeszyć poprzeczne brzoza z lewej strony.



Nr 2. Szlak do ryc. 1 siatkową gipiurą. Połowa wielkości naturalnej.



Nr 11. Suknia z fularu i koronki.

Nr 12. Sukienka dla dziewczynki od 6 do 8 lat. Opis odwr. str. tabl.

Nr 13. Suknia z wełnianego materiału.

Firanka z siatkowej gipiury i muślinu.

Rycina Nr 1 i 2.

Firanka zeszyta z trzech pasów muślinu i dwóch 37 cent. szerokich gipiurów siatki. Siatka robi się z żółtych nici średniej grubości, ściąganiem point-de-reprise, point-de-toile i point-d'esprit. Deseniowe figury otaczają się długimi ściągami, grubą, podwójnie złożoną nitką; takimiż niciami robią się lodygi, przyczem powracając, okręca się pierwszą nitkę drugą nitką. Gdy już pasy są wykonane i zeszyte z muślinowemi, trzeba wszystkie brzegi obrzebić 1 cent. szerokim obrębem, dolny brzeg przybrać koronką robotą siatkowej gipiury.

Kolia ze szlifowanych perełek.

Rycina Nr 6.

Zrobić 43 cent. szeroki, a 3 i pół cent. wysoki kołnierzyk ze sztywnego tiulu i założyć go wzdłuż faldki w odstępach 9 cent. od końca (faldka ta powinna stanowić środek przodu kołnierza) pokryć go oliwkowym atłasem i podszyc czarną jedwabną wstążką. Następnie poprzyszywać do dolnego brzegu kołnierzyka, w odstępach 3 cent., kawałki wstążki 3 cent. długie i 1 cent. szerokie; do tych wstążek przymocować, jak to widzimy na rycinie, odpowiedniej długości nitki, nawleczone czarnymi szlifowanymi perełkami; im niżej, tem nitki powinny być dłuższe i zwieszać się na wzór festonów. Kołnierzyk przybrany gwiazdkami z tychże perełek.

Kolia z okrągłych perełek.

Rycina Nr 7.

Kołnierzyk 38 cent. długi, a 4 cent. wysoki kołnierzyk z gazowej wstążki, na czarnej jedwabnej podszewce, zaszywa się cały czarnymi okrągłymi perełkami, a w odstępach 1 cent. od górnego brzegu przyczepiają się grolotki z małych i dużych perełek. Pięć zębów różnej wielkości (przedni największy), przyszytych do dolnego brzegu kołnierzyka dopełniają kolii.

Suknia z fularu i koronki.

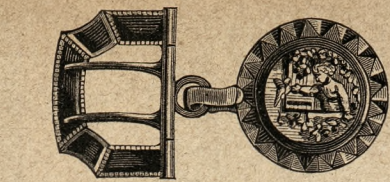
Rycina Nr 11.

Spódnica tej sukni zrobiona z jasnego fularu, oszyta u dołu wąską plisowaną falbanką, a z przodu pokryta dwoma koronkowemi wolantami, z tyłu równym, u dołu zaokrąglonym i przybrany szeroką jedwabną taśmą brytem, ułożonym w gładko spadające faldy. Stanik z faldowanym napiersnikiem, wycięty w czworogrądną i przybrany jedwabną taśmą. Z prawego boku kokarda z szerokiej atlasowej wstążki odpowiedniego koloru.

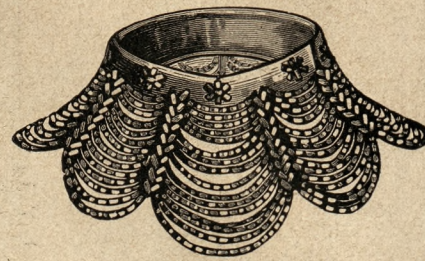
Suknia z wełnianego materiału.

§ Rycina Nr 13.

Suknia z ciemno-brązowego wełnianego materiału, przybrana wełnianą taśmą tegoż koloru. Spódnica pokryta wysokim, ułożonym w kontrafaldy wolantem. Wzrost krótkie, skośnie związane i wycięte spiczasto, przód uło-



Nr 3. Metalowe spięcie do staników.



Nr 6. Kolia ze szlifowanych perełek.



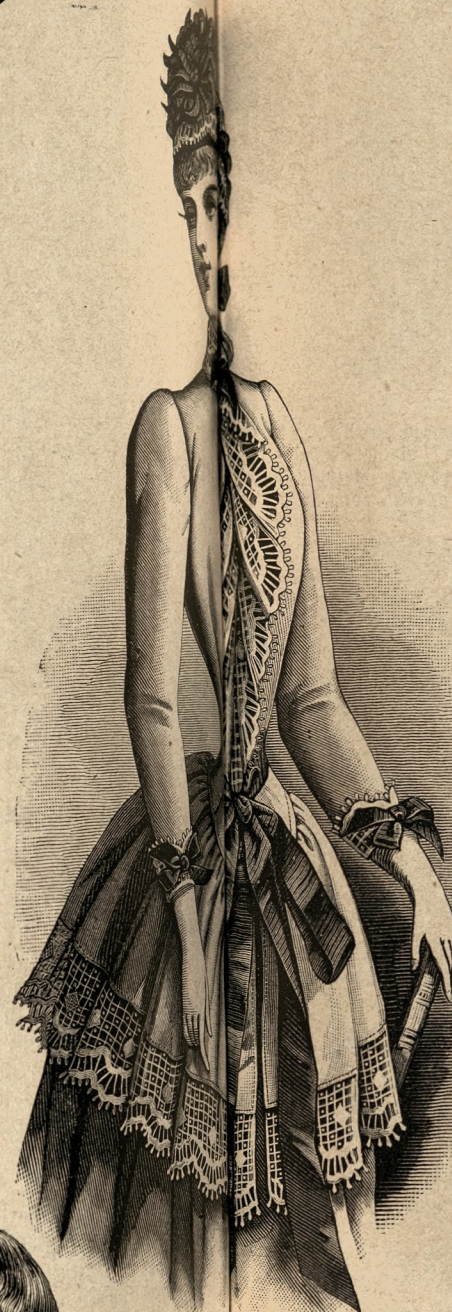
Nr 9. Fartuszek dla dzieci od 2 do 3 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 28.



Nr 4. Metalowe spięcie do staników.



Nr 7. Kolia z okrągłych perełek.



Nr 8. Katanik neglaneli. Przód. (Do ryc. 28 w Bl. Nr 23). Krój i opis str. tabl. Nr III, fig. 11—14.



Nr 10. Śliniczek dymkowy. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XVII, fig. 58 i 59.



Nr 17. Stanik aksamitny. Plecy. (Do ryc. 18). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 48—54.



Nr 18. Stanik aksamitny. Przód. (Do ryc. 17).



Nr 14. Kostium spacerowy z wełnianego materiału i aksamitu. Plecy. (Do ryc. 16). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 30—34.

Nr 15. Sukienka dla dziewczynki od 6 do 8 lat.

Nr 16. Kostium spacerowy z wełnianego materiału i aksamitu. Przód. (Do ryc. 14).

żony w faldy skierowane ku górze; tylny bryt w faldy gładko na dół spadające; przód wetelement przybrany bluzką z kremowego materiału „surah“.

kardkami z różowej morowej wstążki, podług wskazania ryciny.

Sukienka dla dziewczynki od 6 do 8 lat.

Rycina Nr 15.

Sukieneczka z bledo-niebieskiego wełnianego materiału, zapięta z tyłu i ułożona w szerokie kontrafaldy; spódniczka oszyta w około trzema falbankami, kilka razy stębuowanemi; sukienka pod szyją wycięta w kwadrat i przybrana pliską naszytą sutaszem. Pod sukienką bluzka z białego batystu, przybrana haftem, koronkami i wstawkami.

Suknia z kanwowego materiału i koronki „lama“.

Rycina Nr 24.

Spódnica u dołu oszyta uplisowaną, 6 cent. szeroką falbanką z kanwowego materiału koloru „écru“, a na to wolantem 19 cent. szerokim, także uplisowanym. Z przodu przez całą długość sukni naszyta koronka, 16 cent. szeroka i zeszyta środkiem, od koronki idą równo bryty na bokach, trochę namarszczone i naszyte koronką, a z tyłu ułożona w głębokie kontrafaldy. Stanik z kanwy, cały pokryty koronką zeszywaną z 6 cent. szerokich pasów; kamizelka kanwowa gładka; stojący kołnierzyk i rękawy obszyte rulonikiem i przybrane ko-

Przepisy gospodarskie.

Sos rakowy.

Sos rakowy tak jest lubiony, że go na różny można urządzać sposób. Trzy łyżki masła rakowego wymieszać na wolnym ogniu, z łyżeczką od herbaty maki kartoflanej przesianej, mieszając ciągle, aby się dobrze połączyło a jednak nie zagotowało, rozebrać to kwaterką, lub więcej dobrego rosolu lub lekkiego bulionu, wyspać soli, odrobinią białego pieprzu i uważać, gdy się zrobi dobrze zawiesiste, chociaż bez gotowania, zawsze na małym ogniu, wtedy ma dosyć. Włożyć pół kopy drobno pokrajanych sztyk i nożek rakowych, wcisnąć do smaku trochę soku cytrynowego, rozgrzać jeszcze razem i odstawić na ciepłe miejsce. Polewa się takim sosem albo potrawę z kur, kurcząt, cielęciny, rybę ugotowaną w krótkim sosie, czyli w małej ilości wody, a nawet podaje do ciepłych kotletów, jednak podając sos oddzielnie, a smażone kotlety oddzielnie.

Doświadczenia gospodarskie.

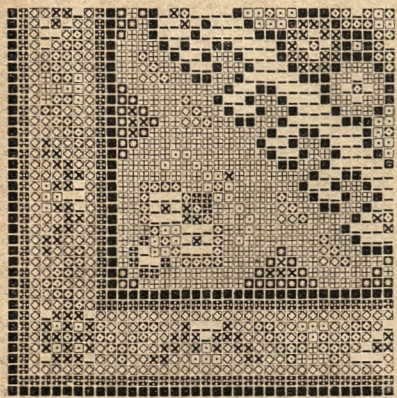
1. Przy męszaniu piany do każdej leguminy, należy w pianę włożyć połowę cukru

przeznaczonego do leguminy i bić go razem z pianą, kładąc tak pianę jak cukier, nie od razu, lecz dobierając po trochu, a każda legumina się udać musi.

2. Rondel, płaską formę lub półmisek blaszany smarować masłem, za pomocą łyżki drewnianej — nie używając wcale palcy, jak zwykle.

L. C.

Tablica krojów dołączoną była do N. 23.

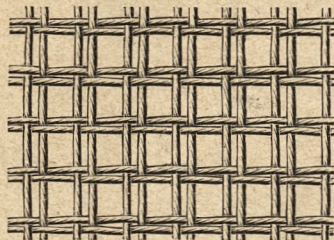


■ czarny, ■ ciemno-pasowy, □ jasno-pasowy, * oliwkowy, □ modny, □ żółty, □ brązowy, ■ jasno-niebieski, ' biały.

Nr 20. Czwarta część wzoru do r. 19.



Nr 19. Poduszka na kanapę ścięciem krzyżowym.
(Do ryc. 20 i 22).



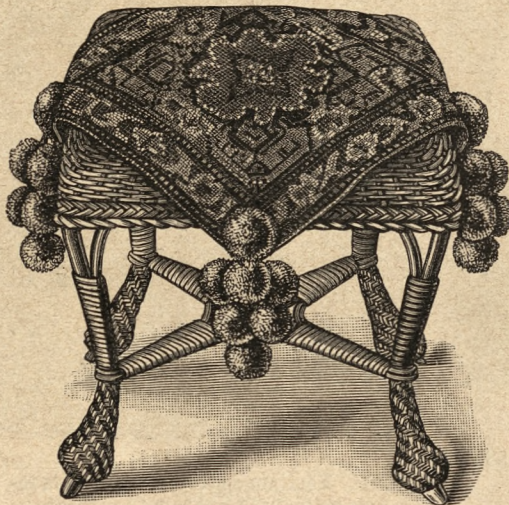
Nr 22. Kanwa do ryc. 19 i 28.
Wielkość naturalna.



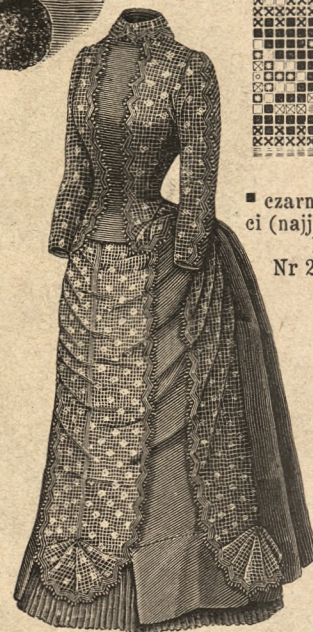
Nr 25. Wykonanie włóczkowego bombelka. 2/3 natur. wielk.



Nr 23. Suknia z wełnianego materiału przybrana taśmą. Plecy. (Do r. 9 w B. Nr 23).



Nr 28. Taburet z przykryciem haftem płaskim.
(Do r. 21 i 22, 25 do 27 oraz ryc. 1 do 4 w B. Nr 23).



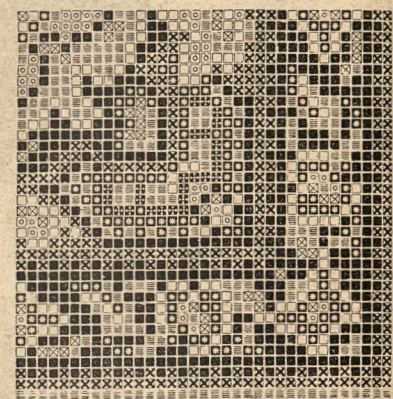
Nr 24. Suknia z kanwowego, materiału i koronki „lama”.
Przód. (Do r. 12 w B. Nr 23).



Nr 30. Szlak do sukni ryc. 16 w B. Nr 23 ścięciem krzyżowym.



Nr 31. Szlak do sukni ryc. 16 w B. Nr 23 ścięciem krzyżowym.



■ czarny, ■ pierw. (naje.), ■ drugi, ■ trzeci (najjaś.) pasowy, □ niebieski, □ zielony □ brązowy, □ złoty.

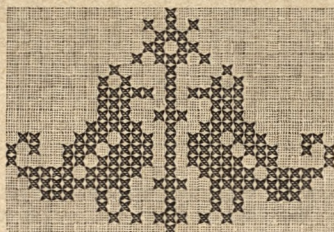
Nr 21. Czwarta część wzoru do r. 28.



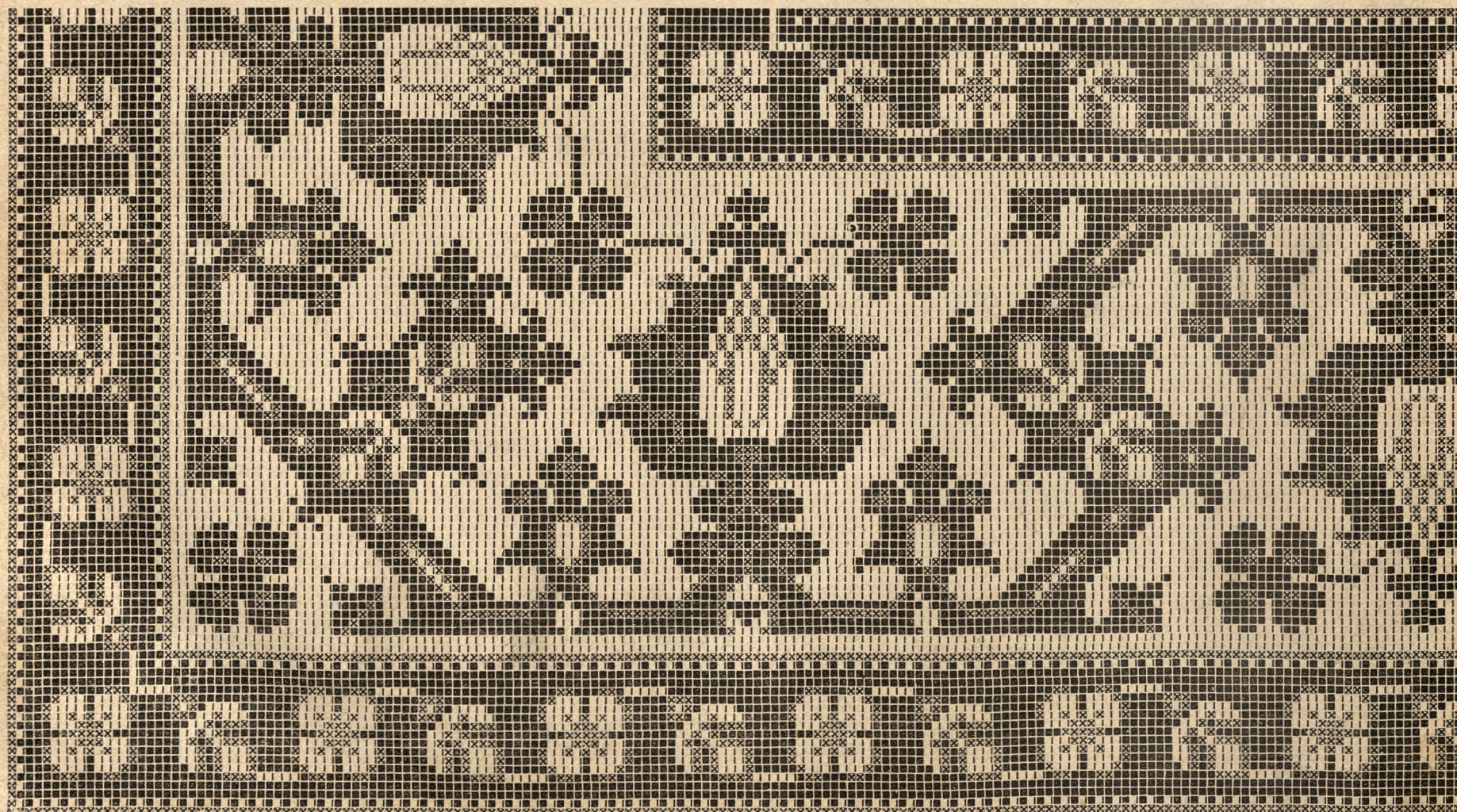
Nr 27. Pączek bombelków do ryc. 28.
Wielkość naturalna.



Nr 26. Bombelek 2/3 naturalnej wielkości.



Nr 29. Wzór haftu do r. 26 w Bl. Nr 23 krzyżowym ścięciem



Objaśnienie znaków: ■ ciemno-niebieski, * jasno-niebieski, ' tło. Nr 32. Róg szlaku na serwety, portyery i t. p. ścięciem krzyżowym.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa ze szparagów „purée”.
2. Paszteciki w koniach z mózdzku.
3. Rostboeuf z młodeimi kartoflami.
4. Szparagi.
5. Kurczęta ze śmietaną.